

Mniej więcej połowa wyborców demokratów jest za tym, by Joe Biden wycofał się z wyścigu o prezydenturę

Polskę czekają największe od dekad inwestycje w sieci przesyłowe. Protestów nie da się uniknąć

A11

A8-9

DGP

Dziennik Gazeta Prawna

PONIEDZIAŁEK • 1 LIPCA 2024

PATRZYMY OBIEKTYWNIE • PISZEMY ODPOWIEDZIALNIE

NR 126 (6291 W2) ROK 30 ISSN 2080-6744, NR INDEKSU 348 066

8,90 zł CENA GAZETY (W TYM 8% VAT)

Newag pozywa grupę hakerów

FIRMY

Sławomir Wikariak
slawomir.wikariak@infor.pl

Newag zarzuca grupie Dragon Sector, że ta naruszyła prawa autorskie, hakując oprogramowanie jego pociągów. To ta grupa znalazła kod, który unieruchamiał składy, gdy trafiały one na przegład do serwisu pojazdów szynowych. On również został pozwany.

– Pozew jest absurdalny, a jego rzeczywistym celem jest zablokowanie możliwości serwisowania pociągów przez innych przedsiębiorców niż Newag – mówi DGP adwokat Zbigniew Krüger, pełnomocnik pozwanych, i zapowiada złożenie powództwa wzajemnego z zarzutami nieuczciwej konkurencji. ©️

B7

Kodeks pracy do poprawki

PRACA

Karolina Topolska
karolina.topolska@infor.pl

Siedem dni na odwołanie od zwolnienia – tyle czasu ma kobieta w ciąży, która chce przywrócenia terminu na złożenie pozwu do sądu pracy. Teraz okazuje się, że – w świetle wyroku TSUE – nasza regulacja może być niezgodna z unijnym prawem.

– Pozwala on sądzić, że siedmiodniowy termin przewidziany w przepisach nie zapewnia kobietom w ciąży skutecznej ochrony sądowej przed wypowiedzeniem. Tak krótki termin może bardzo utrudnić skuteczne zasięgnięcie porady prawnej, a w razie potrzeby sformułowanie i złożenie właściwego pozwu – mówi Katarzyna Sarek-Sadurska, radca prawny. ©️

B10

Chudy jak na ozempicu

ZDROWIE Niemal dwukrotnie wzrosła sprzedaż leków na cukrzycę, które są stosowane też przy odchudzaniu. Skutek? **Braki w aptekach dla naprawdę chorych**

Karolina Kowalska
Patrycja Otto
dgp@infor.pl

Moda na odchudzanie medykamentami na dobre dotarła do Polski. Dowodem na to jest rosnący popyt na ozempic czy dostępny od początku roku tirzepatyd. Jak wynika z danych opracowanych dla DGP przez Pex, tylko w ciągu pięciu miesięcy tego roku w aptekach sprzedano się ponad 1,147 mln opakowań ozempicu. Dla porów-

niania rok wcześniej w tym samym czasie 671,3 tys., a dwa lata temu 256,7 tys. opakowań. Sprzedaż tirzepatydu wyniosła natomiast ponad 184,6 tys. opakowań.

Na leki są wystawiane przede wszystkim pełnopłatne recepty. W przypadku ozempicu to 80 proc. Rynek rośnie zatem nie dlatego, że nagle wzrosła liczba pacjentów z cukrzycą. Według ekspertów popularność ozempicu wynika z wieści na temat jego skuteczności na coraz

większą skalę publikowanych w internecie, również przez osoby znane. Skala wyświetleń nazwy leku rośnie lawinowo. Na portalu Gdziepolek od miesiąca jest najczęściej wyszukiwanym produktem. – Tygodniowo notuje ponad 250 tys. wyświetleń. Dla porównania jeszcze w październiku 2023 r. było to 123 tys. – mówi Angelika Talar-Śpiołek z GdziepoLek. Według Google'a w ciągu ostatniego roku liczba wyświetleń

w jego wyszukiwarce podwoiła się, choć jeszcze w 2022 r. praktycznie nie istniała.

Ozempic czy tirzepatyd to w polskich aptekach prawdziwe rarytasy. – Już 2 min po wprowadzeniu na stan apteki dzwonią pacjenci z całej Polski – mówi mgr farm. Mariusz Politowicz z Pleszewa. Zwykle nie ma dla nich dobrych wieści, bo opakowanie sprzedaje się błyskawicznie. Farmaceutka Paulina Front z Niepołomic pod Krakowem dodaje,

że w dobie receptomatów zdobycie recepty jest banalnie proste. Równie prosto odkupić opakowanie na jednej z nielegalnych grup w mediach społecznościowych.

Choć lek jest bezpieczny, u małej grupy pacjentów może wystąpić ostre zapalenie trzustki. – Dlatego osoby bez wskazań, z normalną masą ciała, nie powinny ryzykować. Ozempic to nie kosmetyk – ostrzega farmaceutka Jerzy Przystajko. ©️ A4

Triumf Bardelli, drugi upadek Macrona

PARYŻ Ze sporą przewagą nad skrajnie lewicowym Nowym Frontem Ludowym i ponownie deklasując obóz prezydencki, Zjednoczenie Narodowe zwyciężyło w pierwszej turze wyborów parlamentarnych we Francji. Zyskało – według

wyników exit poll – ponad 34 proc. poparcia. – Obóz prezydencki, dziś ponownie w dużej mierze wyparty, nie jest już w stanie zwyciężyć – stwierdził lider zwycięskiej partii Jordan Bardella (na zdj.). Na skrajną prawicę zagłosował co

trzeci Francuz. Teraz Macron ponownie spróbuje utworzyć szeroki „republikański” front przeciwko Zjednoczeniu; to z kolei przekonuje, że za tydzień będzie walczyć o wynik dający szansę na sformowanie rządu przez Bardellę. ©️ A2-3



for. Aurélien Morissard/Associated Press/East News

Pytania o nowy plan kolejowy

TRANSPORT

Krzysztof Śmietana
krzysztof.smietana@infor.pl

Nowy pomysł rządu na sieć kolejową wywołał krytykę, że szybkie pociągi będą omijały Polskę Wschodnią. Według Piotra Rachwalskiego, eksperta transportowego, na budowie igreka, czyli trasy z Warszawy przez Łódź do

Wrocławia i Poznania zyskają też mieszkańcy Lublina czy Białegostoku, bo przejazd na zachód kraju będzie szybszy. Do stolicy dojadą zaś po trasach zmodernizowanych do prędkości 160 km/h. Rachwalski przyznaje jednak, że przydałby się jakiś skrót czy nowa trasa prowadząca z centralnej Polski do Rzeszowa. ©️ A5

Fundacja atrakcyjniejsza

PODATKI

Pod koniec kwietnia dyrektor Krajowej Informacji Skarbowej twierdził, że wypłata świadczeń w fundacji rodzinnej na rzecz fundatorów z najbliższej rodziny, np. małżonków, jest częściowo opodatkowana PIT. Teraz zmienił zdanie. Pierwotne stanowisko fiskusa było krytykowane. Padały

głosy, że wypacza ono sens istnienia fundacji rodzinnych. Dominowała też nadzieja, że sądy administracyjne potwierdzą, iż wypłata świadczeń na rzecz najbliższych jest wolna od podatku. Zanim jednak sąd dostał taką szansę, zreflektował się sam fiskus, który zmienił niekorzystną interpretację indywidualną w trybie autokontroli. ©️ B1

Inflacja czai się do skoku

MAKROEKONOMIA

Za towary i usługi płaciliśmy w czerwcu średnio o 2,6 proc. więcej niż rok wcześniej i o 0,1 proc. więcej niż w maju – wynika ze wstępnych danych Głównego Urzędu Statystycznego. Już wiadomo, że częściowe uwolnienie cen prądu i gazu w lipcu przyniesie dużą zmianę. 12-miesięczny

wskaźnik urośnie do 4 proc., a według niektórych szacunków może nawet przekroczyć 5 proc.

Powrotu do powolnego tempa wzrostu cen, jakie mieliśmy w ostatnich miesiącach, można się spodziewać pod koniec przyszłego roku. Dlatego też w najbliższym czasie nie należy liczyć na obniżki stóp procentowych. ©️ A6



9 077 208 016 740 13

Podzieleni Francuzi dali Macronowi pierwszą żółtą kartkę

POLITYKA W wielu okręgach o ostatecznym rozstrzygnięciu zdecyduje druga tura wyborów, ale ta pierwsza nie pozostawia złudzeń – **Francuzi chcą zmiany** i na jej czele jest dziś skrajna prawica i skrajna lewica

Mateusz Roszak
mateusz.roszak@infor.pl

Przedterminowe wybory parlamentarne miały być wyzwaniem rzuconym przez Macrona rosnącej w siłę skrajnej prawicy. Jednak jego obóz zgromadzony wokół partii Renaissance – jak wskazują sondażowe wyniki exit poll – poniósł kolejną (po eurowyborach) wyborczą klęskę. Zwyciężyło kierowane przez Marine Le Pen i Jordana Bardellę Zjednoczenie Narodowe, które uzyskało 34 proc. poparcia, wyprzedzając dość znacznie skrajnie lewicowy blok Jeana-Luca Mélenchona startujący jako Nowy Front Ludowy, który zebrał 28,1 proc. głosów. Obóz Macrona w tym zestawieniu uplasował się na trzecim miejscu z wynikiem 20,3 proc., a na czwartym znaleźli się Republikanie z 10,2 proc. głosów.

Francuzi pokazali w sposób jednoznaczny, że chcą zmiany po siedmiu latach destrukcyjnych rzą-

dów... ale jeszcze nie wygraliśmy. Druga runda będzie decydująca – mówiła wczoraj do swoich zwolenników Marine Le Pen, która przekonyuje, że już za tydzień Francuzi mogą opowiedzieć się za wizją Jordana Bardelli na fotelu szefa rządu.

Gra o większość

Wyniki te – według prognoz stacji France24 – mogą przełożyć się na 230–280 mandatów dla Zjednoczenia Narodowego, 125–165 dla Nowego Frontu Ludowego, 70–100 dla macronowskiego bloku i 41–61 dla Republikanów. Oznacza to, że nawet optymistyczny wariant nie zakłada uzyskania większości bezwzględnej przez obóz Bardelli i Le Pen, bo do tego potrzebne jest 289 mandatów. Dokładną skalę porażki Macrona pokażą dopiero oficjalne wyniki wyborów – ostatecznie rozwiążą wątpliwości, w których okręgach potrzebne będzie zorganizowanie za tydzień drugiej tury. Zgodnie z francuską ordynacją wybor-

czą wybory parlamentarne w pierwszej turze wygrywa kandydat, który uzyska ponad 50-proc. poparcie, a do drugiej tury przejdą ci, którzy przekroczą 12,5 proc.

W związku z tym Macron już po ogłoszeniu wstępnych wyników exit poll rzucił pomysł utworzenia jednego „republikańskiego” bloku przeciw skrajnej prawicy, co oznaczałoby konieczność uzgodnienia w bardzo wielu okręgach jednego kandydata wspólnego dla skrajnej lewicy, prezydenckiego Renaissance i potencjalnie Republikanów. Jak zauważa analityk OSW Łukasz Maślanka, może być to trudne, jeśli do drugiej tury przejdzie trzech lub czterech kandydatów. – Paradoksalnie może to oznaczać brak gotowości do poparcia jednego kandydata przeciwko Zjednoczeniu Narodowemu, jeżeli miałyby nim być reprezentant skrajnej lewicy – partia Mélenchona jest czasami oskarżana o sprzyjanie zachowaniom „antyrepublikańskim”, np.

nieprzestrzegania zasady laicyzmu. Wewnątrz obozu Macrona może dojść do konfliktu: część polityków nigdy nie poprze kandydata skrajnej lewicy, część uzna to za mniejsze zło – ocenia ekspert.

Frekwencja w pierwszej turze według wyników exit poll wyniosła 65,5 proc., co stanowi olbrzymi wzrost w porównaniu do ostatnich wyborów w 2022 r., kiedy to w tej rundzie głosy oddało zaledwie 47,7 proc. wyborców. Wówczas to obozowi Macrona startującemu jako „En Marche!” udało się wygrać z dość pewną przewagą, uzyskując w drugiej turze 38,6 proc. i wyprzedzając lewicowy blok NUPES Mélenchona, który uzyskał wówczas 31,6 proc. głosów. Zjednoczenie Narodowe zajęło wówczas trzecie miejsce z wynikiem 17,3 proc.

Kampania złotych obietnic

O tym, że frekwencja może być wysoka już w pierw-

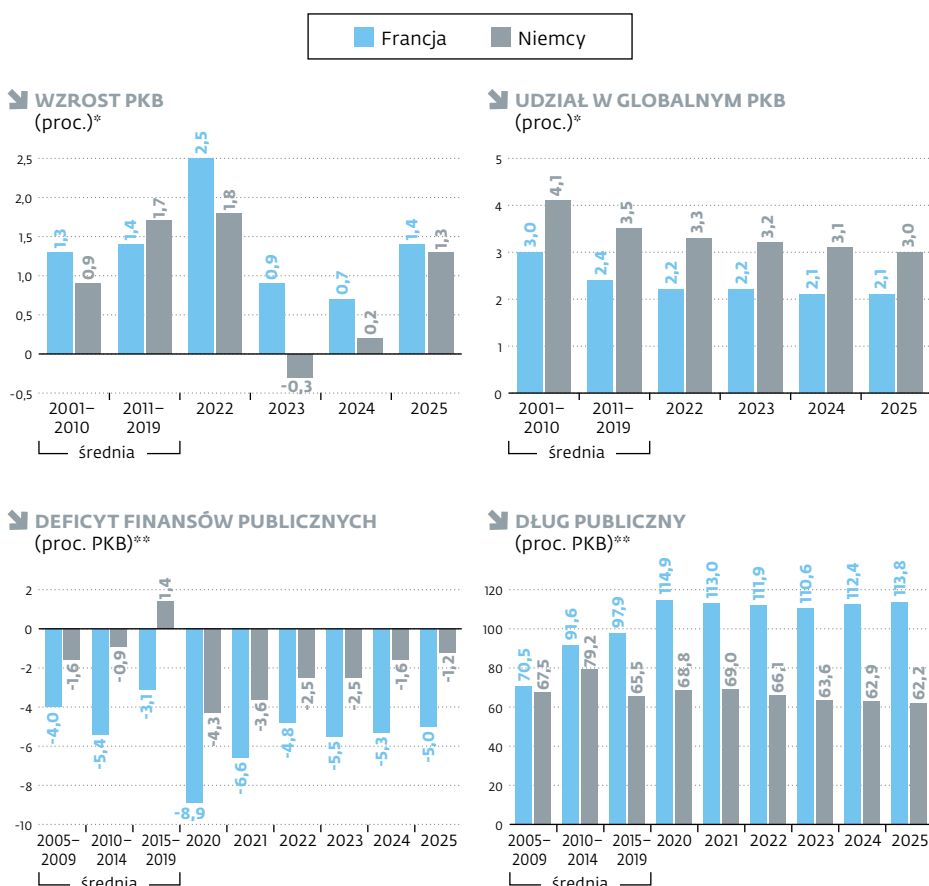


To kolejna po eurowyborach klęska Macrona; na zdjęciu z żoną

szej turze, świadczyła bardzo dynamiczna i burzliwa kampania wyborcza, która została w pełni zdominowana przez trzy wspomniane bloki partyjne. Zjednoczenie Narodowe i Bardella skupiali się przede wszystkim na bezpieczeństwie i gospo-

darce – obiecywali m.in. obniżkę VAT na energię i paliwo, zniesienie podatku dochodowego dla osób poniżej 30. roku życia. Lewicowy Nowy Front Ludowy mający w swoich szeregach zarówno Zielonych, jak i Komunistyczną Partię Francji swój sukces

Marazm po francusku. Gospodarka do naprawy



* na podstawie danych i prognoz (dla lat 2024 i 2025) Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W obliczeniach pominięto lata 2020 i 2021

** na podstawie danych i prognoz (dla lat 2024 i 2025) Komisji Europejskiej

Źródło: MFW, KE

GOSPODARKA Nowy rząd będzie musiał się zmierzyć z niewygodną rzeczywistością – albo przeprowadzi bolesne dla obywateli operacje na finansach publicznych, które mają dla gospodarki większe znaczenie niż w innych unijnych państwach, albo ryzykuje wywołanie kryzysu

Tomasz Józwick
tomasz.jozwick@infor.pl

Piątkowa informacja o wydatkach francuskich konsumentów na towary w maju przyniosła lekki powiew optymizmu po serii niezbyt dobrych doniesień. Biorąc pod uwagę dane oczyszczone z wahań sezonowych i efektów kalendarzowych, zakupy Francuzów zwiększyły się o 1,5 proc. w porównaniu z poprzednim miesiącem, najmocniej od ponad roku. Liczby wydają się potwierdzać prognozy ekonomistów, że po opanowaniu inflacji siła nabywcza konsumentów znów rośnie, a ich zwiększone wydatki pozwolą nabrać rozpędu europejskiej gospodarce w drugiej połowie roku. Mniej optymistycznie wygląda bliższe spojrzenie na strukturę zwiększonych wydatków – Francuzi kupili przede wszystkim więcej żywności i energii, a nie dóbr trwałego użytku.

Żeby zdecydować się na większe wydatki, trzeba być

pewnym swojej ekonomicznej przyszłości. A mieszkańcy Francji najwyraźniej nie są, co pokazują na przykład spadające od kilku miesięcy wskaźniki obrazujące nastroje konsumentów. Tak jak w całej Europie ich wartości rosły niemal przez cały 2023 r., odrabiając straty po gwałtownym załamaniu się związanym z napaścią Rosji na Ukrainę, której ekonomiczną konsekwencją był gwałtowny wzrost cen. Ale ten pozytywny trend wyhamował na początku tego roku, tak jak zatrzymał się rozwój francuskiej gospodarki. W poprzednim roku wzrost PKB o 0,9 proc. wyglądał bardzo przyzwoicie, biorąc pod uwagę, że gospodarka niemiecka, największa w strefie euro, skurczyła się o 0,3 proc. Liderami pod względem tempa rozwoju niespodziewanie okazały się państwa południa Europy, z Hiszpanią, Portugalią i Grecją na czele, co ekonomiści w dużym stopniu przypisywali zwiększonemu rucho-

wi turystycznym. Francja też się na ten trend załapała – w zeszłym roku odwiedziło ją rekordowe 100 mln zagranicznych gości, o 37 proc. więcej niż rok wcześniej.

Początek roku przyniósł kontynuację dobrej passy w usługach, w których powstaje ponad 80 proc. francuskiego PKB, co sprawiło, że w pierwszych trzech miesiącach roczne tempo wzrostu gospodarczego wyniosło 1,1 proc. Ale prognozy ekonomistów na cały rok są niższe i zakładają, że w najlepszym razie Francja powtórzy zeszłoroczny wynik. Dlaczego? Bo trudno zakładać, że znów na tę skalę błysnie turystyka, ciągnąc w górę wynik całego sektora usług. Ostatnie odczyty wskaźników PMI, które powstają na podstawie ankiet wypełnianych przez menedżerów prywatnych przedsiębiorstw, w których oceniają oni poziom produkcji, zatrudnienia czy nowych zamówień, pokazują, że francuska gospodarka znajduje się w fazie spowolnienia. Do-

Stanowiska rozdane. Targ trwa dalej

BRUKSELA

Po wyłonieniu kierownictwa najważniejszych instytucji UE państwa członkowskie muszą uzgodnić nowy skład Komisji Europejskiej. Kadencja kończy się dopiero w listopadzie, ale głosowanie jest spodziewane na połowę lipca

Mateusz Roszak
mateusz.roszak@infor.pl

Mimo potencjalnych wielu zwrotów akcji stanowiska szefów w Komisji Europejskiej, Radzie Europejskiej, Parlamencie Europejskim i unijnej dyplomacji zostały uzgodnione w ubiegłym tygodniu stosunkowo szybko. W kuluarach mówiło się bowiem o szybkim sprzeciwie Giorgii Meloni i wolcie prawicy, która mimo pokonania w wyborach liberalnej frakcji Renew Europe nie została doproszona do głównego stolika negocjacyjnego. Ostatecznie przy sprzeciwie premiera Węgier Viktora Orbána i wstrzymaniu się od głosu Meloni na drugą kadencję została wybrana Ursula von der Leyen, która pokieruje zupełnie nową Komisją. Formalnie to von der Leyen będzie teraz formować skład tej instytucji, w której każdemu państwu członkowskiemu musi przypaść jedna teka komisarza. Do obsadzenia będzie zatem 25 stanowisk – bardzo niejednorodnych, o zróżnicowanym zakresie kompetencji i budżetów.

Test dla porozumienia

Kadencja obecnej Komisji, w której Polsce przypadło portfolio rolnicze, upływie dopiero 1 listopada tego roku. Teoretycznie von der Leyen mogłaby kształtować skład KE przez całe wakacje i wczesną jesień, ale w praktyce rozmowy powinny się zakończyć jeszcze w lipcu z uwagi m.in. na sierpniowe unijne wakacje. Pierwszym testem dla Niemki będzie głosowanie w Parlamencie Europejskim, w którym jej kandydaturę musi poprzeć co najmniej 361 europosłów. Koalicja, którą zawiązała Europejska Partia Ludowa, socjaliści oraz liberałowie z Renew Europe liczy dziś 399 posłów, więc teoretycznie von der Leyen nie musi już zabiegać o głosy innych frakcji. Socjaliści i liberałowie przestrzegali z resztą EPP przed porozumieniem z jakimikolwiek frakcjami

prawicowymi – czy to Europejskimi Konserwatystami i Reformatorami kierowanymi przez Meloni, czy przed skrajną prawicą z Tożsamości i Demokracji. Wstrzymanie się od głosu przez szefową włoskiego rządu nad kandydaturą von der Leyen i zagłosowanie przeciwko António Coście na stanowisku szefa RE i Kai Kallas jako szefowej unijnej dyplomacji w pewnym sensie mogło rozwiać wątpliwości socjalistów i liberałów.

Głosowanie nad kandydaturą von der Leyen odbędzie się prawdopodobnie na najbliższym, pierwszym posiedzeniu Parlamentu Europejskiego X kadencji, które rozpoczyna się 16 lipca. Będzie to pierwszy test dla koalicji chadeków, liberałów i socjalistów, którzy choć zawarli porozumienie, to wciąż wydaje się ono dość kruche. Liberałowie liczą na intensyfikację prac nad Zielonym Ładem, socjaliści uznają współpracę z prawicą za Rubikon dla EPP, a samo EPP podczas negocjacji wywierało dość dużą presję na uzyskanie jak największej liczby kluczowych stanowisk. Obaj koalicjanci podtrzymują swoje oczekiwania i zapowiadają, że o ostatecznym poparciu dla Niemki zdecydują w trakcie posiedzenia.

Po tece dla każdego

W międzyczasie coraz więcej państw członkowskich oficjalnie lub nieoficjalnie zgłasza swoje kandydatury do Komisji. Najbardziej napięta sytuacja jest we Francji, gdzie już za tydzień może dojść do sformowania rządu przez obecną opozycję przy pozostaniu u władzy prezydenta Emmanuela Macrona. Już obecnie prawicowe Zjednoczenie Narodowe domaga się po zwycięstwie w wyborach europejskich i w przededniu walki w II turze wyborów parlamentarnych wpływu na obsadę teki komisarza z ramienia Paryża. Wątpliwe, żeby rozjemcą tego sporu stała się Bruksela, dlatego Macron uprzedza ruchy Le Pen i sufluje dotychczasowemu komisarzowi ds. rynku wewnętrznego i usług Thierry'ego Bretona na kolejną kadencję. W związku z tym, że zgodnie z niepisany zwyczajem dany kraj nie może objąć tego samego portfolio dwa razy z rzędu Paryż – jak donosi m.in. „Le Monde” – celuje w tekę dotyczącą bezpieczeństwa gospodarczego lub obronności. Ta druga anonsowana przez von der Leyen w kampanii jako nowa rola w Komisji, która miała przypaść któremuś z państw Europy Środkowo-Wschodniej, wydawała się wprost dopasowana do szefa polskiej dyplomacji Radosława Sikorskiego. Sęk w tym, że wciąż nie wiadomo, jak będzie skonstruowane to stanowisko i jakim budżetem dla przemysłu obronnego będzie dysponował nowy komisarz. Od początku więc Polska sondowała alternatywne teki z dwóch powodów – zarówno zakuśców Francji na nadzór nad europejską zbrojeniówką, jak i niewielkie chęć i wiarę samego Sikorskiego, że teka ta będzie miała jakikolwiek realny wpływ na kondycję przemysłu zbrojeniowego i unijną obronność.

Obecnie Warszawa jest kojarzona głównie z funkcją komisarza ds. rozszerzenia, o czym kilkakrotnie pisaliśmy, choć nie ma głównego kandydata, który miałby ją objąć. Pełniący obowiązki ambasador RP przy UE Piotr Serafin będzie odgrywał kluczową rolę podczas polskiej prezydentury, a na horyzoncie nie ma zbyt wielu nazwisk, które płynnie weszłyby w europejską strukturę. Limit na dużą tekę np. z obszaru gospodarczego dla naszego regionu poniekąd został wyczerpany nominacją Kallas – w Brukseli mówi się, że istotna rola w zarządzaniu jednolitym rynkiem może przypaść Włochom na pozycję Meloni i jej partii Bracia Włosi.



Ursula von der Leyen po raz drugi pokieruje Komisją Europejską



Fot. Yara Nardi/AFPE/REX News

zawdzięcza przede wszystkim zjednoczeniu środowisk niechętnych zarówno Macronowi, jak i skrajnej prawicy. Lewica zapowiedziała m.in. wzrost płacy minimalnej do 1600 euro miesięcznie, zamrożenie cen podstawowych artykułów i rachunków za

energii oraz odrzucenie unijnych zasad dotyczących procedury nadmiernego deficytu, którą Francja została objęta na kilka dni przed wyborami. Z kolei obóz Emmanuela Macrona od momentu ogłoszenia przez niego decyzji o rozwiązaniu parlamentu

i zorganizowaniu przedterminowych wyborów przekonywał, że cała Francja powinna zjednoczyć się przeciwko skrajnym siłom – tak prawicowym, jak i lewicowym, ale był to właściwie jedyny motyw przewodni kampanii jego ugrupowania.

tyczy to zarówno usług, jak i przemysłu.

Słabnącą pozycję towarów wyprodukowanych we Francji dokumentują wyniki handlu zagranicznego. W 2024 r. już dwa razy miesięczne dane pokazały, że import przewyższał eksport przynajmniej o 7 mld euro. Francja z nadwyżką w wymianie towarowej z zagranicą pożegnała się już w pierwszej dekadzie XXI wieku, ale na przykład bez gwałtownych wstrząsów w globalnej gospodarce, tylko raz miesięczny deficyt przekroczył 6 mld euro. Ekonomiści często powtarzają, że znaczną część konkurencyjności na globalnych rynkach utraciły Niemcy, największy unijny eksporter. Warto jednak zwrócić uwagę, że w 2024 r. miewają miesiące z nadwyżką eksportu nad importem przekraczającą 20 mld euro, co jest wynikiem porównywalnym z rekordowymi miesiącami sprzed pandemii. Jeśli Niemcy nie są tak mocni w globalnej konkurencji jak w swoich najlepszych latach, to co mają powiedzieć Francuzi?

Jednak w perspektywie najbliższych kwartałów największym problemem francuskiej gospodarki będą finanse publiczne. W drugiej połowie czerwca Komisja Europejska ogłosiła, że sie-

dem unijnych państw, w tym Francja i Polska, zostało objętych procedurą nadmiernego deficytu, bo ich deficyty finansów publicznych w 2023 r. przekroczyły 3 proc. PKB i – według prognoz – utrzymają się ponad tym poziomem także w tym roku. Zapewne do połowy lipca decyzję KE potwierdzi Rada Europejska, a to oznacza, że do ok. 20 września państwa objęte procedurą będą musiały przedstawić ścieżkę sprowadzenia deficytu poniżej rozmiarów zalecanych przez traktat z Maastricht. Dla Francji może to być szczególnie bolesne. Wydatki publiczne w 2023 r. stanowiły równowartość 57,3 proc. PKB i był to unijny rekord – żaden inny kraj nie wydaje tak dużo z publicznej kasy w relacji do wielkości swojej gospodarki co Francja. Przy niskim tempie wzrostu gospodarczego redukcja deficytu będzie wymagać albo zmniejszenia wydatków publicznych, albo podniesienia – i tak już wysokich – podatków.

Co na to politycy? Ekonomiści ING przeanalizowali programy wyborcze trzech głównych ugrupowań politycznych. I tak blok centrowy, sympatyzujący z prezydentem Emmanuelem Macronem, ma wśród propozycji obniżenie rachunków za energię o 15 proc., poczynając

od kolejnej zimy, sfinansowanie ubezpieczenia medycznego nieobjętych nim obywateli czy zniesienie opłaty notarialnej w wysokości 250 euro dla kupujących pierwsze mieszkanie. Skrajna prawica zapowiada z kolei natychmiastowe obniżenie VAT na energię i paliwa do 5,5 proc. czy zawieszenie tego podatku na podstawowe produkty na czas audytu finansów publicznych. Z kolei skrajna lewica, którą ze skrajną prawicą łączy zapowiedź zwiększenia dochodów do dyspozycji Francuzów na koszt państwa, ma ok. 150 różnych propozycji działań, a absolutnym priorytetem jest zamrożenie cen żywności, energii i paliw. I wycofanie się z wprowadzanej 1 lipca podwyżki cen prądu. Każdy z programów zawiera propozycję zwiększenia wydatków publicznych, z bardzo mglistym pomysłem (lub bez pomysłu) na ich sfinansowanie.

Ktokolwiek obejmie władzę po drugiej turze wyborów zaplanowanej na 7 lipca, Francję czekają cięcia w finansach publicznych, co na wzrost PKB w najbliższym czasie zapewne korzystnie nie wpłynie. Według ekspertów jedyną nadzieją Francji na przyzwoite tempo rozwoju jest kontynuacja odbicia w największych globalnych gospodarkach.

Moda pozbawia leku cukrzyka

ZDROWIE Zdobyćcie ozempicu graniczy z cudem. To nie tylko winduje cenę jego nierefundowanej wersji do prawie 5 tys. zł. Stanowi też zachętę dla fałszerzy

Karolina Kowalska
Patrycja Otto
dgp@infor.pl

Problemy z dostępem do leków na cukrzycę (ozempic, liraglutyd, trulicity i victoza), które są stosowane też, by zbić wagę, obrastają anegdotami. – Wśród pacjentów mówi się, że żeby je zdobyć, trzeba uwieść farmaceutkę – żartuje prof. Krzysztof Strojek, specjalista diabetologii ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, do zeszłego tygodnia konsultant krajowy w dziedzinie diabetologii (obecnie na stanowisku jest wakat). A to rodzi spore problemy, bo pacjenci z cukrzycą typu 2 i otyłością nie mogą dostać skutecznej terapii. – Mogę im wówczas zaproponować, by ograniczyli wielkość posiłków i zwiększyli aktywność fizyczną, bo wtedy w sposób korzystniejszy spalają tkankę tłuszczową i redukują masę ciała. Bez leku wraca im jednak apetyt i radość z jedzenia, co akurat w tym wypadku jest efektem niekorzystnym, przynajmniej z punktu widzenia fizjologii, bo przyrost masy ciała powoduje pogorszenie wyrównania cukrzycy – tłumaczy prof. Strojek.

Angelika Talar-Śpionek z portalu GdziePoLek.pl przyznaje, że dziś refundowany ozempic (czyli przeznaczony dla pacjentów z cukrzycą typu 2) jest praktycznie nieosiągalny. Mniej niż 1 proc. aptek deklaruje dostępność, a gdy tylko pojawia się nowa

dostawa, znika. Jeśli chodzi o nierefundowany ozempic, który jest sprowadzany w sytuacji niedoboru na rynku za zgodą resortu w ramach importu interwencyjnego z innych krajów UE, obecnie ma go 11 proc. aptek.

Pięć tysięcy za wstrzykiwacz

Brak ozempicu winduje cenę jego nierefundowanej wersji. – Dziś koszt 1 mg waha się od 719,99 zł do 4785 zł za 1 wstrzykiwacz. Dla porównania cena tego samego leku refundowanego to 403, 45 zł bez zniżki 100 proc. Jednak dla pacjentów objętych wskazaniami refundacyjnymi wynosi 127, 59 zł, a dla seniorów ze wskazaniami do refundacji jest dostępny bezpłatnie – wylicza Talar-Śpionek.

Bożena Janicka, prezeska Porozumienia Pracodawców Ochrony Zdrowia, przyznaje, że liczba pacjentów zgłaszających się po receptę na ozempic drastycznie wzrosła. – Wieści o jego działaniu rozchodzą się pocztą pantoflową, bo przecież nie ma reklamy tego leku. Pacjenci tłumaczą, że ozempic jest stosowany przy odchudzaniu nie tylko w USA, lecz także w krajach Europy. Jeśli pacjent nie spełnia wymogów, zgodnych z charakterystyką produktu leczniczego, odmawiam – wyjaśnia.

Nie wszyscy są w stanie to zrozumieć: – Miałem kiedyś pacjentkę, która powiedziała, że nie wyjdzie z mojego gabinetu, jeśli nie przepiszę jej „tego środka na odchudzanie”. Nie miała wskazań, jej BMI (body mass index, wskaźnik masy ciała) był w normie, ze wskazaniem na niski, ale koniecznie chciała schudnąć. Powiedziała, że jest prawniczką i że jeśli nie dostanie recepty, poda mnie do sądu – opowiada inny profesor diabetologii. O „ten świetny lek na od-

chudzanie” zdrowi pacjenci proszą też dr. Jacka Krajewskiego, lekarza rodzinnego i prezesa Federacji Związków Pracodawców Ochrony Zdrowia. Odmawia i tłumaczy, że w ich przypadku sprawdzi się zdrowa dieta i ruch, bo wierzy w siłę edukacji.

Prośby o produkt mają lekarze niemal wszystkich specjalizacji. – Szczupłej znajomej powiedziałem, że przy jej masie ubędzie jej nie tylko masy tłuszczowej, lecz także mięśniowej, a serce też jest mięśniem. To ją przekonało – mówi nam łódzki ortopeda. A rezydent onkologii takie dyskusje kwituje pytaniem o BMI:

– Jeśli jest w normie, mówię, że nie ma wskazań. Jak są wskazania, wysyłam do diabetologa – mówi.

Ale nie każdy jest odporny na prośby pacjentów. Zdaniem Pauliny Front, farmaceutki z podkrakowskich Niepołomic, część pacjentów bez wskazań recepty zdobywa przez receptomaty. Oferty odsprzedaży leku można znaleźć na forach w mediach społecznościowych, również tych przeznaczonych dla osób z cukrzycą i otyłością. Sprzedający zamieszczają je zwykle w komentarzach i zachęcają do kontaktu w wiadomości prywatnej.

Główny Inspektorat Farmaceutyczny (GIF) przyznaje, że nadmierowe stosowanie tych leków w celu kosmetycznej utraty wagi, poza wskazaniami rejestracyjnymi, budzi jego obawy. „Odnoszą się one do stosowania tych produktów w celu kontrolowania masy ciała przez osoby bez otyłości lub osoby z nadwagą, które nie mają problemów zdrowotnych związanych z wagą. Wspomniane zastosowanie często pojawia się w mediach czy portalach społecznościowych, co pogłębia istniejące niedobory i ma poważne konsekwencje dla zdrowia publicznego”

– czytamy w informacji GIF, który dodaje, że niedobory leków zawierających sema-glutyd, liraglutyd i dulaglutyd utrzymują się w krajach członkowskich UE od 2022 r. i będą się utrzymywały przez cały 2024 r., co wynika z ograniczenia mocy produkcyjnych, jak i zapotrzebowania.

Zadanie nowego ministra

W ubiegłym tygodniu WHO przestrzegła przed fałszowaniem ozempicu. Podrobione partie leku wykryto w Wielkiej Brytanii, Irlandii Północnej i Brazylii. O fałszywych partiach informuje również GIF. Problemem niedoboru leków dla cukrzyków zajmie się prawdopodobnie nowy wiceminister zdrowia, którym 1 lipca został Jerzy Szfranowicz. ©P

ROZMOWA

Ozempic to nie kosmetyk



JERZY PRYZSTAJKO
farmaceuta

Ma pan pacjentów, którzy kupują pełnopłatny ozempic na odchudzanie, choć nie mają wskazań?

Nie mam, bo ozempicu po prostu nie ma, a jak się trafia, to z apteki znika, zwykle nie na moim dyżurze. Poza tym trudno stwierdzić, który pacjent kupuje lek zupełnie bez wskazań. Otyłość widać na pierwszy rzut oka, ale cukrzyca już nie, a pamiętajmy, że podstawowym wskazaniem do przyjmowania tego leku jest leczenie cukrzyca typu 2, czyli takiej, którą nabywamy pod wpływem czynników genetycznych czy środowiskowych, takich jak otyłość. Ozempicu nie ma w aptekach właśnie dlatego, że wykupują go osoby bez wskazań.

Można temu zaradzić?

To przykład sytuacji, w której przydałyby się dodatkowe przepisy o reglamentacji. Czyli np. ograniczenie wystawiania i realizacji recept do sytuacji, w których ten lek jest refundowany. Mamy niedobory i pacjenci najbardziej tego leku potrzebujący, z otyłością i cukrzycą, powinni mieć pierwszeństwo. W stosowaniu leków

obowiązuje zasada: przede wszystkim szkodzić, ale tak, by korzyść przewyższała ryzyko. Osoby, które nie muszą redukować masy ciała, ponoszą ryzyko bez korzyści dla zdrowia. Ozempic to nie kosmetyk służący temu, by dognić nierealistyczny ideał piękna z Instagrama. Po ozempicu np. notowano w badaniach klinicznych ostre zapalenia trzustki. Przy takim nieodpowiedzialnym stosowaniu można zatem zupełnie dosłownie zostać ofiarą mody.

Czy takie skutki uboczne występują często?

Nie, trzeba przyznać, że jest to dosyć bezpieczny lek, którego główne działania niepożądane to nudności, wymioty i biegunka. Ostre zapalenia trzustki (OZT) wystąpiły u trzech promili badanych. Ale proszę mi wierzyć, nikt nie chciałby być wśród tych trzech promili. OZT to nagłe zapalenie ważnego organu, które może doprowadzić do jego uszkodzenia. Trzustka produkuje ważne enzymy trawienne oraz insulinę i naprawdę trudno żyć bez niej. Automatycznie ma się cukrzycę i trzeba do końca życia przyjmować nie tylko enzymy trawienne, lecz także insulinę.

Założmy, że jesteśmy w tej dużej grupie pacjentów, którzy nie zachorują na OZT. Jakie mogą być długotrwałe skutki zażywania tych środków „na odchudzanie”?

Tego właśnie nie wiemy, bo lek jest nowy i trwa tzw. czwarta faza badań klinicznych, gdy lek jest dostępny dla szerokiej populacji. Mamy tylko wyniki badań klinicznych przed dopuszczeniem leku na rynek. Nie wiadomo jeszcze, jakie będą odległe skutki, zwłaszcza że lek ingeruje w układ hormonalny, który sam w sobie jest niezwykle skomplikowany.

Ostatnio WHO ostrzega przed podróbkami ozempicu. Co może być w takiej podróbce?

Kupowanie podrobionych leków do wstrzykiwań jest groźne z dwóch powodów: nie mamy gwarancji, że w ogóle zawierają właściwy lek we właściwej dawce czy cokolwiek innego. Poza tym bardzo groźne mogą być problemy dotyczące sterylności i czystości podrobionych preparatów, a to wiąże się z ryzykiem chorób zakaźnych i reakcji zapalnych. Więc nie dość, że można kupić sobie bubel, to jeszcze pechowo będzie, jak wyprodukowano go w kiepskich warunkach. ©P

Rozmawiała Karolina Kowalska



Marta Rawicz
dziennikarka
DGP

OPINIA Związki dla nikogo

Projekt w sprawie związków partnerskich będzie rządowy, ale ustawa, jeśli nawet zostanie uchwalona i podpisana przez prezydenta, nie rozwiąże wszystkich problemów osób, które na nią czekają. Nie dotrze choćby dzieci, które wychowują tężowe rodziny.

Batalię o usankcjonowanie związków partnerskich organizacje równościowe wraz z partiami lewicowymi i liberalnymi prowadzą od ponad 20 lat. Żaden z projektów nie przeszedł etapu pierwszego czytania w Sejmie.

Tym razem może być inaczej. Projekt w tej sprawie ma szansę na pieczęć rządową, to jedno. Po drugie istnieją teoretycznie szanse na jej uchwalenie. Wciąż nie jest bowiem pewne, jak ostatecznie zachowaliby się część PSL, ale też pojedynczy konserwatyści z PO (jak Roman Giertych, który odmawia odpowiedzi na pytanie o związki partnerskie) czy Polski 2050. Nie wiadomo też, czy ostatecznie propozycji rządowej nie zdecydowałby się poprzeć jacyś posłowie Konfederacji czy nawet PiS. Na takie głosy po cichu liczą zwolennicy ustawy.

Projekt, który powstał pod okiem ministrowi ds. równości Katarzyny Kotuli, jest gotowy od kilku miesięcy, ale dopiero teraz, po tygodniach negocjacji z ludowcami, dostał zielone światło od premiera. Przewiduje możliwość zawarcia związku partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, a partnerom m.in. prawo do dziedziczenia czy wstąpienia w umowę najmu po zmarłym partnerze, otrzymania renty rodzinnej, pochówku, wspólnego rozliczenia podatkowego oraz odmowy zeznań w postępowaniach cywilnych, karnych, administracyjnych czy podatkowych.

Po etapie konsultacji międzyresortowych propozycja trafi na posiedzenie rządu i do Sejmu najwcześniej we wrześniu. Będzie to jednak wersja mocno okrojona w stosunku do tego, co pierwotnie zaproponował resort Kotuli. Pod naciskiem PSL z projektu wypadnie wiele przepisów związanych przede wszystkim z przysposobieniem dzieci, które już wychowują pary (homo i hetero) pozostające w związkach nieformalnych. To właśnie te regulacje, na których

najbardziej zależy tężowym rodzinom. – Nie mamy żalu do ministrowi Kotuli, robiła, co mogła. To, że politycy PSL nie chcą dostrzec naszych dzieci, jest skandalem – mówi nam jedna z mam, która wychowuje dziecko wraz ze swą partnerką. Obawia się o los pociechy, w razie gdyby jej zabrakło. – Prawo nie będzie po stronie mojej partnerki – podkreśla.

Czy ludowcy nie dostrzegają tej części społeczeństwa, która może liczyć grubo ponad 100 tys. (według Europejskiego Sondażu Społecznego, którym posiłkuje się resort Kotuli, osób w związkach tej samej płci, mieszkających ze sobą, jest ponad 160 tys.)? Dostrzegają, ale jak przyznają, obawiają się gniewu ze strony swego konserwatywnego elektoratu. – Nie chcę mieć powtórek z 2019 r., kiedy będąc wraz z PO w Koalicji Europejskiej, musieliśmy się tłumaczyć z karty LGBT, którą Rafał Trzaskowski podpisał w Warszawie – mówi jeden z PSL-owskich konserwatystów. – Nie było dnia, żeby nie atakował nas PiS i jego media – dodaje. – Ludzie może i popierają związki albo i śluby osób tej samej płci, ale w stolicy, u nas, na wsi, nie – przekonuje poseł Stronnictwa.

Według ministrowi Kotuli kwestia przysposobienia dotyczy zresztą głównie par hetero, nawet w 95 proc. przypadków.

Szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, odpowiada, że dzieci takie „mają ojców”. Nie zawsze, bo zdarza się, że ojciec nie jest znany albo zmarł. Co jeśli i matka umrze? Czy dla dziecka lepszą opcją będzie wychowanie u dalszych krewnych albo w zupełnie obcej rodzinie zastępczej niż przez osobę, która je dotychczas wychowywała? Na to już ludowcy nie mają dobrej odpowiedzi.

Pary jedнопłciowe, bo to one są w najtrudniejszej sytuacji, nie mając możliwości zawarcia małżeństwa, nie składają broni. – Będziemy dalej walczyć o nasze prawa. Może poprosimy o spotkanie z Kosiniakiem-Kamyszem – zapowiada cytowana już wcześniej mama z Fundacji Tężowe Rodziny. Nie kryje przy tym, że najlepszym rozwiązaniem dla niej i innych działaczek i działaczy na rzecz praw osób LGBT byłoby wprowadzenie równości małżeńskiej. Projekt w tej sprawie w zeszłym tygodniu w rozmowie z DGP zapowiedziała posłanka Anna Maria Żukowska, przewodnicząca klubu Lewicy. Miałby trafić do Sejmu w przyszłym roku, przed wyborami prezydenckimi. Jego uchwalenie, nawet jeśli latem 2025 r. do Pałacu Prezydenckiego wprowadzi się Rafał Trzaskowski albo inny liberalny prezydent, wydaje się jednak nierealne. ©P



Czytaj

Emilia Świętochowska

Donald Trump szuka swojego numeru 2



Nowa sieć kolejowa lepsza niż piasta i szprychy

ROZMOWA Dzięki budowie igreka skorzystają też mieszkańcy Polski Wschodniej. **Kolei dużych prędkości nie buduje się dla mniejszych miast** – mówi Piotr Rachwalski, ekspert transportowy, szef Przedsiębiorstwa Komunikacji Metropolitalnej

Nowe pomysły na CPK i sieć kolejową sprowokowały krytykę, że szybkie pociągi będą omijały Polskę Wschodnią.

Nie zgadzam się. Przecież ludzie, którzy będą jeździć z Lublina do Wrocławia lub Szczecina czy z Białegostoku do Poznania po drodze też będą korzystać z szybkiego igreka i dzięki temu ich podróże też się wyraźnie skróci. Igrek, czyli szybka trasa ze stolicy przez Łódź do Wrocławia i Poznania, to brakujące ogniwo, które ma służyć całej Polsce. Teraz kończone są modernizacje torów z Warszawy do Białegostoku i Lublina, które pozwolą pociągom osiągać przyzwoitą prędkość 160 km/h. Na wschodzie nie ma zaś wielu większych ośrodków miejskich, a gęstość zaludnienia nie jest ogromna. W efekcie potoki podróźnych nie są gigantyczne. Mamy ograniczoną pulę pieniędzy. Powinno się je wydawać tam, gdzie liczba pasażerów jest największa i efekt z inwestycji posłuży jak największej ich liczbie. A ludzie chcą jeździć między największymi miastami.

Czy jednak Rzeszowowi nie przydałoby się jakieś szybkie połączenie z centrum kraju? W tym kierunku rzeczywiście przydałoby się usprawnienie. Trzeba by się zastanowić, czy potrzebna jest

nowa linia, czy budowa kilku skrótów, łączników, które znacznie przyspieszą podróż na Podkarpaciu. Istniejące tory z północy kraju do Rzeszowa to raczej lokalne linie, które często prowadzą krętymi trasami. To jeden z elementów do uzupełnienia, tylko zamiast dwóch „szprych” wystarczy jedna linia.

Posłanka Paulina Matysiak mówi, że nowe szybkie trasy powinny też służyć mniejszym miastom.

Trzeba jasno powiedzieć: kolei dużych prędkości nie buduje się dla mniejszych miast. Być może punktowo może pomóc przy okazji poprowadzenia szybkiej linii, co jest praktykowane np. we Francji. Tyle że to są zwykłe stacje oddalone o kilka, kilkanaście kilometrów od miast i raczej nie służą do codziennych dojazdów do pracy. Oczywiście tam, gdzie jest to możliwe, z nowych, szybkich tras powinny też korzystać tzw. regiony ekspresy, które poprawiłyby komunikację do niektórych mniejszych miast. Jednak co do zasady szybka kolej służy do szybkiego przemierzania się dużych potoków podróźnych między dużymi miastami. Należy się starać przeciwdziałać tzw. efektowi tunelowemu KDP (kolei dużych prędkości), ale alternatywą jest raczej rewitalizacja istniejących linii

i zadbanie na nich o dobrą ofertę niż budowa przystanków na KDP co 10 km.

Czyli „szprycha” z Giżycka przez Łomżę w kierunku Warszawy i CPK, którą planował PiS, nie ma uzasadnienia?

Nie, bo realnie duże potoki podróźnych mogłyby zaistnieć tylko w czasie ośmiu weekendów w roku – latem. Mazury mają tory, które powinno się znacznie lepiej wykorzystać. Istnieje linia z Ostrołki do Łomży czy z Olsztyna przez Miłkołajki do Ełku, którą też można wykorzystać. Nie trzeba od razu budować tam kolei dużych prędkości. Wzorem innych krajów europejskich Mazury powinny być może zostać objęte siecią dotowanych przez państwo dalekobieżnych linii autobusowych o wysokiej jakości. To zrobimy za promil tych wydatków, które trzeba by przeznaczyć na kolej dużych prędkości. Nie wszędzie musi iść KDP, o skutkach środowiskowych takiej budowy na Mazurach nawet nie wspomnę. Najpierw wykorzystajmy tańsze alternatywy, potem dopiero budujmy kolej wysokich parametrów tam, gdzie te opcje nie wystarczają.

Cały plan kolejowy „piasty i szprychy”, który lansował poprzedni rząd, był zły?



Piotr Rachwalski, ekspert transportowy

Tak, bo nie był poparty analizami. Po pierwsze, był niekorzystny dla regionalnych portów lotniczych, bo sieć kolejowa miała zachęcać do podróży do Baranowa, pompować tam pasażerów. Był też zbyt rozbudowany. Zakładał realizację ponad 2 tys. km szybkich tras w sytuacji, w której przez 30 lat nie zbudowaliśmy jeszcze ani jednej linii kolejowej, o KDP nie wspominając. W efekcie nowa sieć byłaby głęboko deficytowa, jej utrzymanie kosztowałoby miliardy. Pula środków publicznych na transport jest ograniczona. Jeśli mamy problemy z utrzymaniem w odpowiednim standardzie już istniejącej sieci kolejowej, to co byłoby po dołożeniu ponad 2 tys. km szybkiej, drogowej w utrzymaniu kolei? Białe plamy transportowe nie znikną po zbudowaniu szybkich torów, podobnie jak nie znikają po budowie autostrad. Zwróć też uwagę na to, że model „szprychy” nie widział największego korytarza transportu ludzi, który prowadzi z Rzeszowa przez Kraków, Katowice do

Wrocławia i dalej do Legnicy oraz Poznania i Szczecina. Na mapie pokazanej w ostatnią środę przez rząd jest to trasa przewidziana do dalszej modernizacji, choć na razie nie wiemy, co się kryje pod tym hasłem.

Mnie jednak interesuje, jakie środki znajdują się na linie, które na wspomnianej mapie były zaznaczone cieńszymi kreskami. Ile będzie pieniędzy na zrobienie kolei mogącej osiągać prędkość 120 czy 160 km/h, a prowadzącej ze średniej wielkości miasta, np. z Ostrowa Wielkopolskiego do Wrocławia czy z Piły do Poznania czy Białogardu?

A czy podwyższenie prędkości na igreku z 250 do 300-320 km/h ma sens?

Do mnie przemawia jeden argument za wyższą prędkością. Skoro teraz dzięki modernizacjom parametry istniejących linii da się podnieść do 200-220 km/h i jeździć po nich tradycyjnym taborem, to prędkość 250 km/h na budowanej zera infrastrukturze wydaje się zbyt niska. Czas przejazdu nie skróci się znacznie. Prędkość powyżej 300 km/h działałaby też marketingowo, bo mogłaby przyciągnąć na kolej większą liczbę podróźnych. Dałoby to także wyraźne skrócenie czasu przejazdu w porównaniu z jazdą samochodem po autostradzie. A to główny konkurent kolei.

Rząd PiS argumentował, że pociągi osiągające 250 km/h mogłyby wyprodukować polskie firmy.

Nie jest pewne, czy rzeczywiście polskie firmy dałyby radę zbudować taki tabor. Rodzime spółki powinny starać się robić konsorcja ze światowymi potentatami i powoli przejmować od nich know-how. Wtedy w sporej części pojazdy powstawałyby w Polsce. Na razie nauczymy się samodzielnie dobrze wykonywać pociągi na 160 km/h. A z tym nadal mamy problemy.

Czy podwyższenie prędkości do 300-320 km/h nie opóźni przygotowań do budowy igreka?

Na razie wciąż jesteśmy na dość wczesnym etapie przygotowań. Do wydania pozwoleń na budowę jest jeszcze długa droga. W przypadku niektórych odcinków są już zgody środowiskowe, ale nie wydaje się, że podwyższenie planowanej prędkości spowoduje tu jakieś wyraźne opóźnienie.

Czas przejazdu z Warszawy do Wrocławia w ciągu 100 minut jest realny? To byłoby o ok. 2 godziny szybciej niż teraz.

Zobaczymy. Wszystko będzie zależeć m.in. od tego, ile będzie stacji pośrednich i ile będzie tam kursować wolniejszych regioekspresów. To na pewno jest bardzo ambitne założenie. Precyzyjniejsze wyliczenia będzie można uzyskać po zakończeniu projektu.

A co pan sądzi o zapowiedzi premiera Donalda Tuska, że Polska po zbudowaniu nowych linii stanie się wielką megalopolis?

To element marketingu politycznego. Dla mnie kluczowe jest, że ta zaproponowana sieć kolejowa ma lepsze uzasadnienie niż plan rysowany przez poprzedników.

Rozmawiał
Krzysztof Śmietana

TRANSPORT Do czasu oddania portu w Baranowie LOT ma **podwoić liczbę swoich największych maszyn.** Na takie samoloty czeka się jednak teraz najdłużej

Krzysztof Śmietana
krzysztof.smietana@infor.pl

Walne zgromadzenie spółki PLL LOT zatwierdziło sprawozdanie finansowe przewoźnika za 2023 r. Potwierdziły się dobre wyniki, które wstępnie ogłaszano już kilka miesięcy temu. LOT zamknął zeszły rok z 1,074 mld zł zysku netto. Przewiozł w tym czasie 10,021 mln podróźnych. Dzięki dobrym wynikom spółka może m.in. terminowo spłacać pożyczkę, którą otrzymała po pandemii COVID-19. Do grudnia

Czas na decyzję w sprawie szerokokadłubowców

2026 r. przewoźnik musi oddać Polskiemu Funduszowi Rozwoju łącznie 1,8 mld zł. Jednocześnie LOT musi rozwijać siatkę połączeń i zwiększać liczbę maszyn, by w momencie otwarcia nowego portu przesiadkowego w Baranowie – co rząd planuje w 2032 r. – być odpowiednio silnym przewoźnikiem. Maciej Lasek, rządowy pełnomocnik ds. CPK, zapowiedział, że do tego czasu liczba samolotów LOT-u zwiększy się z obecnych 76 do 135. Liczba maszyn szerokokadłubowych ma się niemal podwoić – z 15 do 29. To w dużej mierze takie samoloty mają pozwolić stworzyć w Baranowie znaczący hub przesiadkowy, z którego mieszkańcy regionu mają wylatywać na

inne kontynenty. – Nasz narodowy przewoźnik będzie musiał tam mieć dominującą pozycję. Jeżeli będzie miał mniej niż 50 proc. słotów, to zostanie skanibalizowany. Ruch zostanie przejęty przez konkurencję i trudno będzie mu się przebić – przyznał Maciej Lasek. LOT na razie zwiększa flotę średniego zasięgu i regionalną. Do 11 boeingów 737 MAX w ciągu półtora roku dołączy 11 kolejnych. Maszyny te mogą na pokład zabrać prawie 190 pasażerów. Niedawno przewoźnik wyleasingował też trzy embraery E195-E2, które pomieszczą 136 podróźnych. Do floty przewoźnika będą dołączać między lipcem i wrześniem. Równocześnie LOT prowadzi postępowanie na zakup

kilkudziesięciu maszyn regionalnych. Poprosił o oferty Embraera i Airbusa. Na razie nie wiadomo jednak, kiedy można się spodziewać rozstrzygnięcia w tej sprawie. Prezes LOT-u Michał Fijoł nie chce też powiedzieć, kiedy zapadną decyzje w sprawie pozyskania samolotów szerokokadłubowych. Teraz przewoźnik użytkuje 15 dreamlinerów, czyli boeingów 787. Ekspert przyznają, że na maszyny

Na realizację zamówienia na duże samoloty czeka się nawet przez pięć-sześć lat

szerekokadłubowe czeka się teraz najdłużej. – Zarówno w przypadku Boeinga, jak i Airbusa czas oczekiwania to pięć-sześć lat – zaznacza Mariusz Piotrowski z portalu Fly4free. Po zakończeniu pandemii znacznie wzrósł popyt na takie maszyny. Na wydłużenie kolejki mają też wpływ zakłócenia w łańcuchach dostaw.

Dominik Sipiński z portalu Ch-aviation przyznaje, że jeśli LOT chciałby pozyskiwać nowe samoloty bezpośrednio od producenta, to faktycznie powinien się spieszyć z zamówieniami. – Warunki, w tym terminy dostawy, zawsze da się nieco negocjować, ale w tej chwili obydwa producenci są wyprzedani na kilka najbliższych lat. Gigantyczne

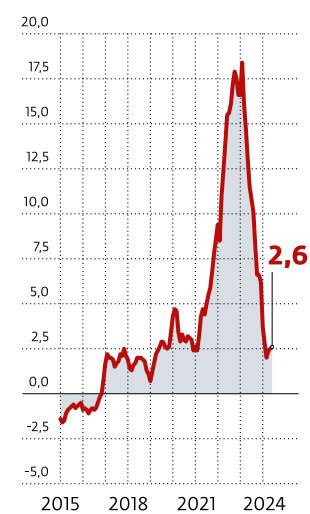
problemy z łańcuchem dostaw dodatkowo spowalniają proces – zaznacza. Według Sipińskiego do bardziej prawdopodobne są zamówienia od leasingodawców, gdzie pole manewru jest dużo większe. Mają większe możliwości zaferowania liniami szybkich dostaw. – W przypadku leasingu paradoksalnie może opłacić się oczekiwanie – teraz raty leasingowe są kosmicznie wysokie, za dwa-trzy lata mogą być niższe – zaznacza Dominik Sipiński. Przyznaje jednak, że kwestię dużych maszyn trzeba szybko zaplanować. Kwestią otwartą jest także to, czy LOT dalej chciałby użytkować dreamlinera. W przypadku nowego modelu trzeba by m.in. przeszkolić od nowa pilotów.

Gospodarka

Kursy średnie walut NBP
28.06.2024 R.

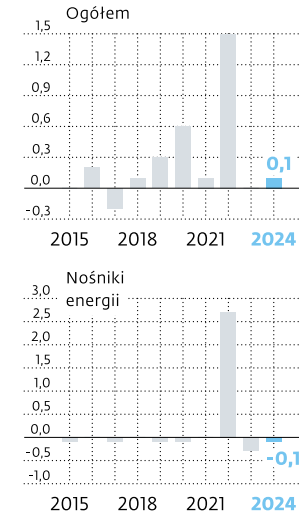
DOLAR AMERYKAŃSKI (USD)	4,0320 PLN
EURO (EUR)	4,3130 PLN
FRANK SZWAJCARSKI (CHF)	4,4813 PLN
FUNT SZTERLING (GBP)	5,0942 PLN

Roczna zmiana cen konsumpcyjnych (proc.)

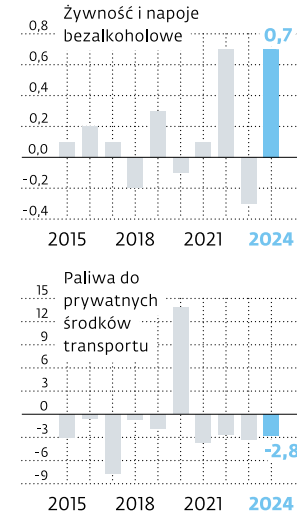


Zródło: GUS

Zmiany cen w czerwcu (proc.)



Zródło: GUS



Zródło: GUS

Ostatni miesiąc z tak niską inflacją

MAKROEKONOMIA

W czerwcu ceny były o 2,6 proc. wyższe niż rok wcześniej.

W lipcu czeka nas skok być może nawet do 5 proc.

Lukasz Wilkowicz
lukasz.wilkowicz@infor.pl

Dane przedstawione w piątek przez Główny Urząd Statystyczny okazały się zbieżne z przewidywaniami większości analityków. Za kupowane w czerwcu towary i usługi krajowi konsumenci płacili średnio o 2,6 proc. więcej niż rok wcześniej. W porównaniu z poprzednim miesiącem ceny wzrosły o 0,1 proc. W podobnej skali podniósł się pomiedzy majem a czerwcem 12-miesięczny wskaźnik inflacji. To dlatego, że przed rokiem w czerwcu ceny w porównaniu z majem się nie zmieniły. Wtedy był to najlepszy wynik od sześciu lat, co podkreślali zwłaszcza przedstawiciele banku centralnego, który ma dbać o stabilność cen. Roczny wskaźnik inflacji wówczas przekraczał jednak jeszcze 10 proc.

Jak wyglądały trendy cenowe w czerwcu? We wstępnych szacunkach inflacji GUS przedstawia dane tylko w kilku kategoriach. Analitycy zwrócili uwagę na 0,7-proc. wzrost cen żywności i napojów bezalkoholowych.

„Jest to wyraźnie więcej niż sugerowałyby typowy wzorzec sezonowości. Winą obarczamy tutaj powrót do wyższego VAT, tylko że ze znanym ekonomistom asymetrycznym efektem – ceny w większym stopniu rosną po podwyżkach VAT niż spadają po jego obniżkach. Jednakże zdecydowana większość tego dostosowa-

wania już się zrealizowała i nie spodziewamy się zaskakujących podwyżek z tego tytułu w kolejnych miesiącach” – skomentowali ekonomiści Banku Pekao. I dodali: „Bazowa presja na ceny żywności pozostaje obecnie niska, ale niestety z dużym potencjałem na jej wzrost ze względu na niesprzyjające warunki atmosferyczne, które znacząco ograniczą podaż owoców i warzyw w tym roku”.

Zwyżki cen żywności zostały częściowo skompensowane przez obniżki na stacjach benzynowych. Paliwa potaniały w porównaniu z poprzednim miesiącem o 2,8 proc.

Na obniżki stóp możemy liczyć w drugiej połowie 2025 r.

Co dalej? Ceny ropy na światowych rynkach każą spodziewać się podwyżek (baryłka surowca Brent kosztowała pod koniec minionego tygodnia prawie 85 dol., w pierwszej połowie minionego miesiąca było to poniżej 80 dol.). Ale równocześnie zaczynają się wakacyjne promocje (w Orlenie są one nawet bardziej hojne niż przed rokiem, choć równocześnie ograniczono dostępność taniego paliwa).

Ekonomistów interesują jednak w najbliższym czasie dwie inne kwestie: po pierwsze, jak będzie się zachowywać inflacja bazowa, po drugie – co z cenami energii?

Inflację bazową z wyłączeniem cen żywności i energii ekonomiści szacują w czerwcu na 3,7–3,8 proc. Oznaczałoby to, że pozostała na takim samym lub nieznacznie niższym poziomie niż miesiąc wcześniej.

Inflacja bazowa pokazuje wpływ popytu na presję cenową. W ostatnim czasie jej znaczenie podkreślali Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego, i członkowie Rady Polityki Pieniężnej.

O ile główna miara wzrostu cen o włos przekraczała cel NBP (inflacja na poziomie 2,5 proc.), o tyle w przypadku wskaźnika bazowego jest do pokonania znacznie większy dystans, by można mówić o stabilności cen. To jeden z powodów, dla których żaden analityk nie oczekuje po Radzie Polityki Pieniężnej zmiany stóp na zaczynającym się jutro lipcowym posiedzeniu. Główna stopa NBP od października ub.r. pozostaje na poziomie 5,75 proc.

Inny powód jest taki, że już w lipcu czeka nas gwałtowny skok w górę oficjalnej miary inflacji podawanej przez GUS. Powód? Częściowe uwolnienie cen prądu i gazu, co podniesie roczny wskaźnik inflacji o ok. 1,7 pkt proc. Zmieniają się również cenniki ciepła, co również podbije inflację, choć w mniejszym stopniu. Analitycy Banku Handlowego spodziewają się, że już w lipcu 12-miesięczny wskaźnik inflacji może się znaleźć powyżej 5 proc. Większość rynku jest zdania, że taki poziom osiągniemy pod koniec roku – podobnie jak w czerwcu, w drugiej połowie tego roku miesięczne wskaźniki nie będą tak niskie, jak w 2023 r.

Zakładając, że za rok ceny energii nie pójda w górę tak mocno jak teraz, tegoroczny wysoki wzrost cen wypadnie z 12-miesięcznego wskaźnika inflacji, w II półroczu 2025 r. tempo wzrostu cen powinno wrócić do poziomu celu banku centralnego. Być może otworzy to drogę do obniżek stóp procentowych.

Fundusze zarabiają i rosną dzięki zyskom

FINANSE Wysokie stopy procentowe pomogły BFG drugi rok z rzędu wypracować ponad miliard złotych dodatniego wyniku

Lukasz Wilkowicz
lukasz.wilkowicz@infor.pl

W 2023 r. Bankowy Fundusz Gwarancyjny odnotował ponad 1,3 mld zł zysku wobec 1,05 mld zł w 2022 r. – informuje biuro prasowe instytucji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo depozytów w krajowych bankach.

To na razie jedyna informacja na temat rezultatów finansowych BFG. Sprawozdanie za poprzedni rok jest zwykle publikowane pod koniec wakacji po tym, jak przyjmie je rząd.

Podstawowym źródłem zysku jest zarządzanie czterema funduszami: gwarancyjnymi i przymusowej restrukturyzacji dla banków i spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych. Łącznie wynosiły one w końcu ub.r. niemal 26,2 mld zł. Były o prawie 2,6 mld zł wyższe niż rok wcześniej. Środki są lokowane w bezpieczne i płynne papiery banku centralnego i Skarbu Państwa.

BFG jest beneficjentem wysokich stóp procentowych. Główna stopa NBP wynosiła w ubiegłym roku średnio prawie 6,5 proc. Rentowność dwuletnich obligacji rządowych na początku ub.r. wynosiła ok. 6 proc., by w II półroczu znaleźć się w okolicach 5 proc.

Rezultaty osiągnięte przez BFG zależą od wielkości zarządzanych przez niego środków, ale też wpływają na ich wielkość. Rada Funduszu decyduje bowiem o przeznaczeniu wypracowanego zysku na powiększenie odpowiednich funduszy. W roku ubiegłym miliardowy zysk (wtedy najwyższy w historii) niemal w całości zasilił fundusz przymusowej restrukturyzacji banków. Niecałe 2 mln zł poszły na zwiększenie funduszu gwarancyjnego SKOK.

Podział ubiegłorocznego zysku może wpłynąć na poziom składek, jakie w przyszłym roku będzie pobierał BFG od banków. Jeszcze kilka lat temu banki skarżyły się na wysokość tych obciążeń – sektor regularnie płacił ponad 3 mld zł rocznie. Pobór składki na fundusz gwarantowania depozytów został zawieszony w 2022 r. w związku z zaangażowaniem ośmiu największych graczy rynkowych w przymusową restrukturyzację Getin Noble Banku.

Stworzyły one spółkę System Ochrony Banków Komercyjnych, którą zasiliły kwotą niemal 3,5 mld zł. Zdecydowana większość została przeznaczona na dotację na pokrycie strat GNB, za resztę SOBK objął

mniejszościowy pakiet akcji instytucji pomostowej, do której przeniesiono zdrową część działalności Getinu. Te udziały oraz 15 mln zł w gotówce w ubiegłym roku przeznaczono na wsparcie Podmiotu Zarządzającego Aktywami, do którego trafiła część aktywów instytucji pomostowej – funkcjonującego od prawie dwóch lat pod nazwą VeloBank.

Możliwy jest powrót do naliczania składek na fundusz gwarantowania depozytów

„Rola SOBK jest zapewnienie dodatkowego finansowania o charakterze środków prywatnych gwarantujących bezpieczeństwo deponentów i systemu finansowego w Polsce. Odbiło się to zgodnie z przepisami prawa krajowego i unijnego. Cały proces udzielania wsparcia był konsultowany na bieżąco i stale z Komisją Nadzoru Finansowego oraz z Komisją Europejską” – pisze SOBK w sprawozdaniu z działalności w 2023 r. Ten podmiot wypełnił już swoją rolę i w końcu ub.r. miała aktywa o wartości nieco ponad 12 mln zł i niespełna milion złotych kapitału.

Wiosną tego roku zmieniły się władze BFG (decy-

dującą rolę w zakresie obsady stanowisk ma minister finansów). Nowy prezes Maciej Szczesny, podobnie jak jego poprzednik Piotr Tomaszewski, zapowiada powrót do pobierania składek zarówno na fundusz przymusowej restrukturyzacji, jak i gwarancyjny.

– Od przyszłego roku trzeba się liczyć z powrotem do naliczania składek na fundusz gwarantowania depozytów. Przez dwa lata nie pobieraliśmy z tego tytułu składek, ale ten okres „wakacji składkowych” się kończy – stwierdził nowy szef BFG w trakcie niedawnej gali konkursu DGP „Gwiazdy Bankowości”.

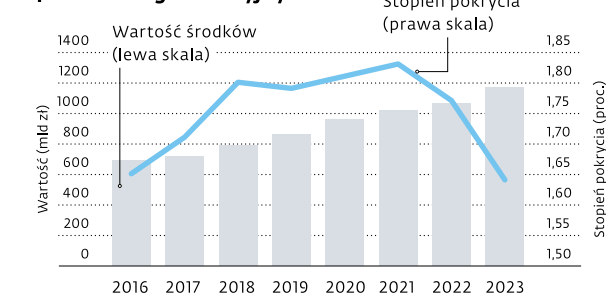
Jesienią 2022 r. rada BFG obniżyła docelowy poziom funduszu gwarancyjnego banków z 2,6 proc. do 1,6 proc. W końcu ub.r. fundusz miał wartość 19,2 mld zł, co odpowiadało 1,64 proc. środków gwarantowanych w bankach.

BFG cały czas pobiera natomiast składki na fundusz przymusowej restrukturyzacji. W tym roku ich wartość to 1,56 mld zł, czyli o ponad 100 mln zł więcej niż w ubiegłym roku. Ten fundusz w końcu 2021 r. dysponował kwotą 9,6 mld zł, jednak mocno uszczupliły ją wydatki związane z przymusową restrukturyzacją Getin Noble Banku. Rok później fundusz dysponował kwotą 4,7 mld zł.

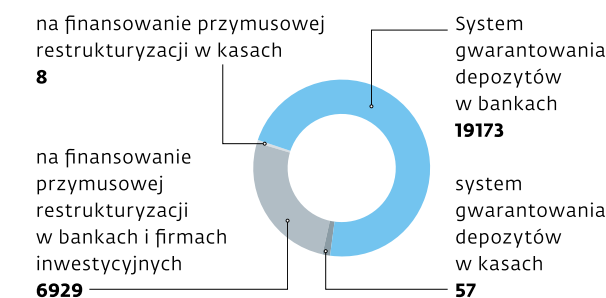
W najbliższym czasie Bankowy Fundusz Gwarancyjny powinien zamknąć transakcję sprzedaży VeloBanku. Jej kwota jest już znana: amerykański fundusz private equity Cerberus za istniejące akcje ma zapłacić 375 mln zł. Dodatkowo zobowiązał się do dokapitalizowania VeloBanku. W efekcie łączna minimalna kwota inwestycji ma wynieść 1,08 mld zł.

Sprzedaż VeloBanku praktycznie nie będzie miała znaczenia dla wyników BFG. W raporcie za 2022 r. akcje instytucji finansowych w bilansie BFG wyceniano na 357,1 mln zł.

Środki gwarantowane w bankach i stopień pokrycia funduszem gwarancyjnym



Fundusze BFG
(mln zł, stan w końcu 2023 r.)



Zródło: BFG

ER ©

Usługi dominują w bilansie nad wymianą towarową

STATYSTYKI

Łukasz Wilkowicz
lukasz.wilkowicz@infor.pl

Same usługi transportowe (chodzi nie tylko o przewozy samochodowe, lecz także np. o rurociągi) poprawiają nasze saldo w obrotach z zagranicą mocniej niż całe obroty towarami – do takiego wniosku można dojść na podstawie opublikowanego w piątek przez Narodowy

Bank Polski pełnego bilansu płatniczego za pierwsze trzy miesiące tego roku.

Był to piąty z rzędu kwartał z nadwyżką w obrotach towarowych. Wyniosła ona 2,5 mld euro. Równocześnie obroty usługami dały nam ponad 3,5 razy więcej. Nadwyżka w obrotach transportowych wyniosła 3,6 mld euro, 2,4 mld euro wyniosła nadwyżka w tzw. pozostałych usługach bizne-

sowych. Ta kategoria dotyczy centrów usług wspólnych, które do niedawna chętnie lokowały w naszym kraju międzynarodowe korporacje. Obecnie częstsze są informacje o zamykaniu tego typu przedsięwzięć. Niedawno o wycofaniu się z Polski i zwolnieniu ponad 1,5 tys. pracowników poinformował brytyjski bank NatWest.

Przychody z usług biznesowych od zagranicznych kon-

trahentów w I kw. wyniosły 6,5 mld euro. Były o 14 proc. wyższe niż rok wcześniej. Dynamika była najmniejsza od trzech lat. Wpływ na jej obniżenie mogło mieć umocnienie złotego.

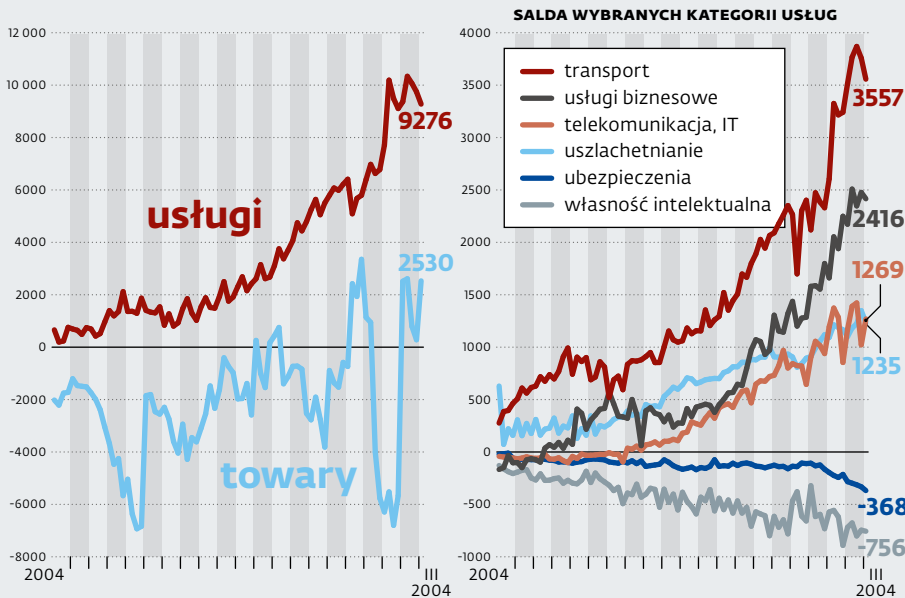
Systematycznie rośnie także znaczenie świadczenia na rzecz zagranicznych podmiotów usług telekomunikacyjnych i informatycznych. Poprawiają one nasze saldo o ponad 1,2 mld euro

w skali kwartału. Na początku tego roku niewiele mniej dało uszlachetnianie towarów przywożonych z zagranicy. Największe koszty ponosimy z tytułu własności intelektualnej.

Na początku tego roku zmniejszyły się wychodzące z Polski transfery związane z pracą. Dotyczy to zwłaszcza wynagrodzeń pracowników. To kategoria ujmująca zarobki osób pozostających

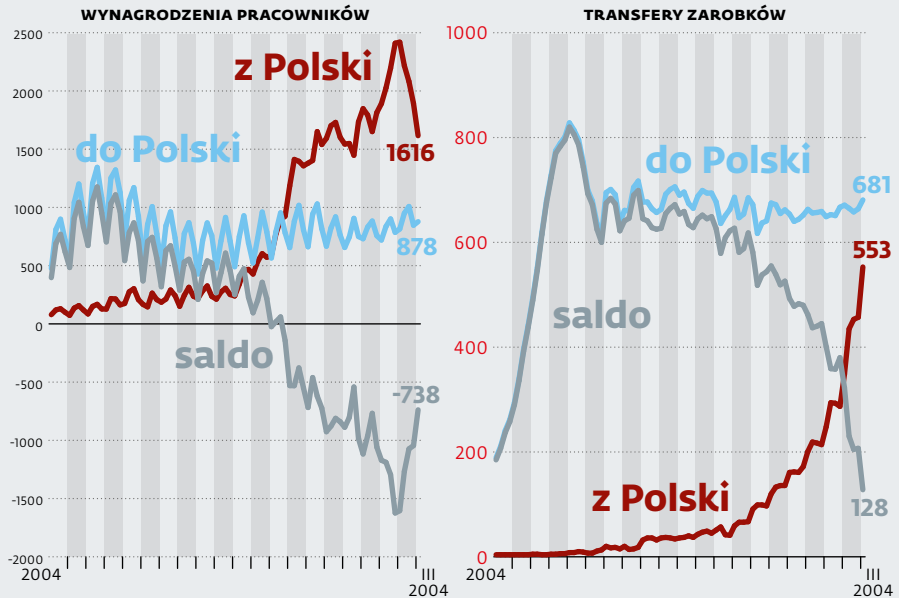
w naszym kraju krócej niż rok. W przypadku transferów zarobków osób będących w Polsce dłużej nastąpił w I kw. wzrost – pierwszy raz w historii transfery z Polski przekroczyły pół miliarda euro. Nadal są mniejsze niż kwoty przysyłane do naszego kraju przez emigrantów, ale różnica zmniejszyła się do niewiele ponad 100 mln euro i była najmniejsza od wejścia Polski do Unii Europejskiej, co otworzyło falę wyjazdów Polaków w poszukiwaniu zajęcia do Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Łączne kwartalne saldo wynagrodzeń pracowników i transferów zarobków jest ujemne (więcej pieniędzy wypływa z Polski, niż do niej trafia) od prawie sześciu lat. ©

SALDO OBROTÓW TOWAROWYCH I USŁUGOWYCH (mln euro kwartalnie)



Zródło: NBP © NS

ZAROBKI POLAKÓW ZA GRANICĄ I OBCOKRAJOWCÓW W POLSCE (mln euro kwartalnie)



Marek Tatała
ekonomista,
prezes Fundacji
Wolności
Gospodarczej

OPINIA O płacy minimalnej nie powinni decydować politycy

Dyskusje o wysokości płacy minimalnej co jakiś czas wzbudzają duże społeczne emocje, a szczególnie wtedy, gdy trwa jej ustalanie na następny rok. W tym roku, w związku z wciąż podwyższoną inflacją, płaca minimalna wzrosła już dwukrotnie. 1 stycznia poziom najniższych wynagrodzeń podniósł się z 3600 zł do 4242 zł, a od 1 lipca wynosi 4300 zł. Choć Polska wciąż nie jest najzamożniejszym krajem Europy Środkowo-Wschodniej, to płaca minimalna należy u nas do najwyższych w regionie – kwotowo Polskę wyprzedza tylko Słowenia. Jednocześnie na 2025 r. zaplanowano kolejną podwyżkę płacy minimalnej, do 4626 zł. W ciągu zaledwie roku możemy więc zaobserwować wzrost o ponad 1000 zł.

Mówimy tutaj o kwotach brutto – pracownik nie otrzyma aż 4626 zł, a pracodawca nie zapłaci tylko takiej kwoty za jego pracę. Wynagrodzenie minimalne netto w 2025 r. wyniesie 3484 zł, a dla firmy, która zatrudnia kogoś na takich warunkach, będzie to koszt na poziomie prawie 5600 zł. Co się dzieje z pozostałymi ponad 2100 zł? Ta kwota to różnego rodzaju podatki i składki, którymi są obciążone wynagrodzenia, żeby na końcu do kieszeni pracownika trafiło niecałe 3500 zł.

Warto wiedzieć, że podwyżki płacy minimalnej ogłaszają politycy, ale koszty ponoszą w dużej mierze prywatni przedsiębiorcy, którzy tworzą większość miejsc pracy w Polsce. Ktoś mógłby teraz machnąć ręką, ignorując los „prywaciarzy”, ale pamiętajmy,

że rosnące koszty działalności mogą mieć nieprzyjemne konsekwencje dla pracowników (np. kiedy prowadzą do zamknięcia zakładu pracy) i konsumentów (kiedy odbijają się na podwyżkach cen towarów i usług). Kilka lat temu duże zainteresowanie w mediach społecznościowych wzbudziło zdjęcie rachunku z jednej z amerykańskich restauracji, która wprost informowała klientów, jaka część podwyżek cen dań w menu wynika ze zmiany wysokości płacy minimalnej. Ciekawy przykład oddolnej edukacji ekonomicznej. Mniej bolesny dla pracowników w porównaniu z wariantem, kiedy firma decyduje się na ograniczenie zatrudnienia lub zamknięcie zakładu, np. przenosząc produkcję do innego kraju ze względu na zbyt szybko rosnące koszty.

Co więcej, sektor finansów publicznych na podwyżkach płacy minimalnej... zyskuje – wraz ze wzrostem wynagrodzeń rosną też obciążenia podatkowo-składkowe. Podobny do podwyżki płacy minimalnej efekt, i to dla wszystkich, czyli podwyższenie wynagrodzeń netto („na rękę”), mogłoby się też odbyć przez zmniejszenie różnego rodzaju danin publicznych, ale jest to dużo trudniejsze, szczególnie w sytuacji podwyższonego deficytu w finansach publicznych, wynikającego ze zbyt wysokich wydatków państwa.

Dużym problemem jest to, że politycy ustalają poziom płacy minimalnej dla całego kraju, dla wszystkich branż, dla każdego rodzaju pracy. A przecież gospodarka jest niezwykle zróżnicowana. Wzrost wynagrodzeń w gospodarce powinien być związany ze wzro-

stem produktywności, a ta jest bardzo zróżnicowana – mamy problem z niską produktywnością pracy w rolnictwie i mikroprzedsiębiorstwach, a dużo wyższa produktywność występuje w największych firmach. Ogólnie narzucony, taki sam wzrost najniższych wynagrodzeń generuje zupełnie inne koszty i inne konsekwencje dla każdej z tych grup.

Poza tym mniejszym problemem są podwyżki płacy minimalnej dla wielu firm działających w Warszawie (gdzie stopa bezrobocia to 1,4 proc.), a większym dla tych, które działają w powiatach: szydłowieckim (ze stopą 23,1 proc.), brzozowskim (18,9 proc.) i przysuskim (18,1 proc.), czyli tych, w których bezrobocie w Polsce jest najwyższe. Dlatego od lat wielu ekspertów przedstawia słuszny postulat, aby rozważyć regionalizację płacy minimalnej. Biorąc pod uwagę zróżnicowanie rynku pracy w Polsce, taka regionalizacja nie powinna się ograniczać do województw – bo zróżnicowanie pomiędzy Warszawą a powiatem szydłowieckim (oba miejsca na Mazowszu) jest przecież bardzo duże – ale schodzić na poziom powiatów.

Podwyżki płacy minimalnej inaczej oddziałują też na różne typy pracowników. Przy zbyt wysokiej płacy minimalnej mniej atrakcyjna staje się praca osób o najmniejszym doświadczeniu, najmłodszych i tych powracających na rynek pracy po dłuższej nieobecności. Takim osobom może być trudniej znaleźć legalne zatrudnienie – szczególnie jeśli mieszkają w tych regionach Polski, w których bezrobocie jest wyższe.

Skoro już płaca minimalna w Polsce istnieje (są kraje Unii Europejskiej, w których jej nie ma), to jej poziom nie powinien być nadmierny, dlatego należy odejść od postulatów lewicowej części koalicji rządzącej, mówiącej o dążeniu do poziomu 60 proc. średniego wynagrodzenia. Jednocześnie warto rozmawiać o zmianie modelu ustalania płacy minimalnej, aby oderwać ten proces od bieżącej polityki i kampanii wyborczych. Warto odebrać politykom możliwość prostej licytacji na zasadzie „kto da więcej”, a zostawić wyznaczenie płacy minimalnej... komputerowi – ten na podstawie ustalonych wcześniej w ustawie przepisów i wzoru oraz wskaźników opisujących stan gospodarki, które powinny obejmować m.in. inflację i poziom produktywności, mógłby ustalać zmiany poziomu płacy minimalnej.

A czym w takim razie zajmowałby się wtedy decydenci? O wiele ważniejsze niż coroczne negocjacje dotyczące płacy minimalnej jest zajęcie się ogólnym poziomem wynagrodzeń w gospodarce. Aby wynagrodzenia rosły szybko, warto zastanowić się, co zrobić, by mniej ludzi pracowało w najmniej produktywnych sektorach gospodarki (mamy w Polsce np. przerost zatrudnienia w rolnictwie, względem innych krajów UE), firmy się rozwijały (bo więksi placą średnio lepiej) i więcej inwestowały (bo wciąż poziom inwestycji w Polsce w relacji do PKB jest zbyt niski), co sprzyja poprawie produktywności pracy. Najlepszą polityką rynku pracy jest dbanie o szybkie i stabilne tempo wzrostu gospodarki. ©

Protestów nie unikniemy

NIERUCHOMOŚCI Linie przesyłowe czekają na największe od lat 70. inwestycje, co jest kluczowe dla transformacji energetycznej. Jednak już dziś można założyć, że na trasach budowy będą wybuchały protesty. Poprowadzenie linii w gruncie jest możliwe, ale znacznie bardziej kosztowne

Aleksandra Hołownia
Michał Perzyński
Anita Dmitruczuk
dgp@infop.pl

W 2023 r. wartość inwestycji w sieci energetyczne (przesyłowe i dystrybucyjne) wyniosła 13,5 mld zł. To 46 proc. więcej niż rok wcześniej – wynika z najnowszego raportu Polskiego Towarzystwa Przesyłu i Rozdziału Energii Elektrycznej (PTPiREE). Wartość inwestycji Polskich Sieci Elektroenergetycznych zwiększyła się w tym czasie o 60 proc. W dużej mierze wynika to ze wzrostu kosztów, niemniej jednak skala inwestycji jest ogromna.

– Zakładamy, że w najbliższym dziesięcioleciu musimy dobudować stacje i linie dla 22 GW mocy wytwórczych. W związku z tym naszym „okrętem flagowym” jest most prądu stałego, czyli linie łączące północ z południem. Liczymy, że będzie możliwe wykonanie tego projektu w technologii napowietrznej, bo jest ona nawet kilkunastokrotnie tańsza od technologii kablowej, ze względu na inne rozwiązania techniczne oraz sposób prowadzenia prac. Obecnie jesteśmy na etapie wstępnego studium wykonalności – mówi Włodzimierz Mucha, wiceprezes PSE, w rozmowie z DGP. Inne kluczowe inwestycje są na różnym etapie zaawansowania: mają decyzję środowiskową lub są w trakcie, czekają na decyzję budowlaną lub prace już się zaczęły. Część jest dopiero projektowana. Na przykład linia 400 kV z Grudziądza do Płocka, która ma wprowadzać w głąb kraju, jest na etapie końca spotkań konsultacyjnych, linia z Kozienic do Stalowej Woli jest w planach, po-

dobnie jak modernizacja linii Rogowiec–Joachimów i Rogowiec–Tuczna, która ma związek z przyszłym wyłączeniem bloków węglowych na Śląsku i włączeniem farm wiatrowych na Bałtyku.

Niedawno Komisja Europejska w cyklicznej ocenie polityki gospodarczej, społecznej i klimatycznej krajów członkowskich wskazała, że właśnie sieci są podstawowym wąskim gardłem polskiej transformacji energetycznej. „Modernizacja sieci przesyłowej i dystrybucyjnej jest warunkiem wstępnym transformacji energetycznej w Polsce. Modernizacja wewnętrznej sieci jest również konieczna, aby umożliwić wymianę transgraniczną z krajami sąsiadującymi. W tym kontekście są potrzebne nowe połączenia dla prądu stałego między północą a południem, jak również rozbudowa sieci prądu przemiennego” – można przeczytać w ocenie KE.

Problem w tym, że choć czeka nas największa w historii PSE przebudowa i modernizacja sieci, to już dziś można założyć, że nie oby się ona bez protestów. A obrane podejście kosztowe, stawiające na technologię napowietrzną, temu sprzyja.

Sieci przesyłowe, które przekazują prąd w dużej ilości i na wielkie odległości, łącząc elektrownie z punktami dystrybucyjnymi, są arteriami całego systemu. Mimo że długość linii zarządzanych przez PSE wynosi zaledwie 1,6 proc. z niemal miliona kilometrów wszystkich linii elektroenergetycznych (łącznie z przyłączami), to właśnie ich budowa jest przyczyną największych napięć społecznych.

Tylko w ubiegłym roku odbyło się ponad 800 spo-

tkań i wydarzeń informacyjnych, podczas których PSE informowały o znaczeniu sieci przesyłowych. Tak państwowa spółka chce ograniczyć lokalne protesty. To nauka wyciągnięta m.in. z 2016 r., kiedy to Społeczna Grupa Koordynacyjna Kozienice–Ołtarzew doprowadziła do zmiany planu zagospodarowania w województwie mazowieckim w części dotyczącej m.in. przebiegu linii wysokiego napięcia. Linia ta była elementem pierścienia wokół Warszawy, tak by w razie awarii danego odcinka linii lub elektrowni utrzymać ciągłość dostaw do aglomeracji. Ostatecznie linie biegną inną trasą.

W 2022 r. doszło natomiast do silnych protestów na linii Trębaczew–Rokitnica. Ostatecznie PSE zdecydowały się poprowadzić linię nieco dłuższą trasą wzdłuż torów, ingerując jednak mniej w okolice.

Z protestami spotkała się też budowa linii Gdańsk Błonia – Olsztyn Mątki, która będzie biegła przez Żuławy Elbląskie. „Planowana trasa miałaby przebiegać w pobliżu południowych brzegów jeziora Druzno, przez wsie o bogatym, zachowanym w niemal niezmięnionej formie, krajobrazie historycznym z założeniami hydrotechnicznymi sięgającymi XVI w., nasadzeniami XVII i XVIII-wiecznymi i wybitną ceną drewnianą architekturą z XVII i XVIII wieku” – napisała w petycji do PSE o zmianę planów Fundacja Ochrony Zabytków Architektury Drewnianej. – Pewnym jest, że konstruowanie tak olbrzymiej budowli będzie skutkowało użyciem ciężkiego sprzętu, tysięcy przejazdów samochodów wysokotonazowych, głębokich wykopów, koniecz-

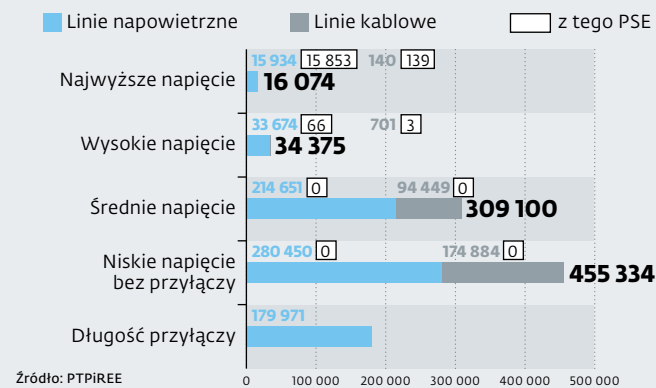
nością „miany systemów hydrotechnicznych, co przyniesie również zgubne skutki dla gospodarki agrarnej regionu – dodała.

Podobne inwestycje w sieci będą miały miejsce także w Niemczech i tam również spotykają się z oporem. Według niedawnego sondażu przeprowadzonego przez magazyn „Handelsblatt” niemal 70 proc. respondentów życzyłoby sobie, by były pod ziemią, nawet jeśli wiązałoby się to ze znacznym wzrostem kosztów.

Główną osią protestów jest spadek wartości nieruchomości. Cezary Kwiatkowski z firmy Kampinos Nieruchomości, która sprzedaje działki w podwarszawskich gminach, gdzie przechodzą linie przesyłowe, zwraca uwagę, że cena gruntów w pobliżu linii jest znacznie niższa, a te działki, które znajdują się najbliżej, często w ogóle nie znajdują kupców. – Przede wszystkim w oczach klientów linie psują krajobraz. Ponadto emitują hałas w wilgotniejsze dni – opowiada.

Bezpośrednio pod linią nie można też nic budować. – Przepisy budowlane są w tej kwestii rygorystyczne. Dlatego działka taka praktycznie nie ma żadnej wartości, bo nie interesują się nią ani firmy usługowe, ani budowlane – mówi Kwiatkowski w rozmowie z DGP. W jego ocenie poprowadzenie linii pod ziemią, nawet jeśli wciąż nie można by nad nimi niczego budować, rozwiłoby część oporów klientów. Jeśli nie widzą linii przesyłowych, to problemu jest jakby mniej. – Nawet sam fakt, że dana linia jest dla operatora linią zapasową, stanowi mniejszy problem ze strony potencjalnego nabywcy działki w jej pobliżu – przekonuje Kwiatkowski.

DLUGOŚĆ LINII ENERGETYCZNYCH NA KONIEC 2023 R. W PRZELICZENIU NA JEDEN TOR (km)



Źródło: PTPiREE

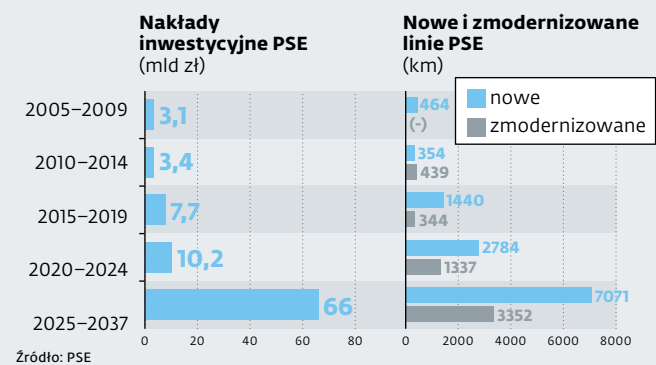
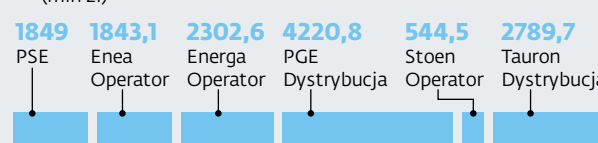
Długość wszystkich linii elektroenergetycznych, łącznie z przyłączami

179 971 km

REALIZOWANE I ZAPLANOWANE INWESTYCJE PSE DO 2037 R.

Sieciowe zadania inwestycyjne	390
Przyrost długości linii 400 kV	5456 km
Przyrost długości linii HVDC	1615 km
Nowe stacje elektroenergetyczne	31
Modernizowane stacje elektroenergetyczne	110

KWOTA ZREALIZOWANYCH INWESTYCJI W 2023 R. (mln zł)



Źródło: PSE

PSE, budując infrastrukturę, korzystają z instytucji służebności przesyłu. To oznacza, że w optymalnej sytuacji określają wraz z właścicielem zasady, w jaki sposób PSE będą mogły korzystać z nieruchomości, aby wybudować i w przyszłości eksploatować urządzenia przesyłowe. Brak porozumienia w takiej sprawie może się jednak

skończyć w długim procesie sądowym, zaś w przypadku m.in. nieuregulowanej kwestii własności PSE mają też do dyspozycji tzw. specustawę przesyłową. Inwestor składa wówczas do wojewody wniosek o wydanie decyzji lokalizacyjnej ograniczającej sposób korzystania z nieruchomości.

– W każdym z tych przypadków właścicielowi przy-

Przyroda traci za każdym razem

OCHRONA PRZYRODY

Oddziaływanie linii przesyłowych na ptaki jest duże, ale wprowadzenie kabli pod ziemię też nie odbyłoby się bez szkody dla środowiska

Anita Dmitruczuk
Aleksandra Hołownia
Michał Perzyński
dgp@infop.pl

W 2021 r. Polskie Sieci Elektroenergetyczne wydały ponad 2 mln zł na monitoring przyrodniczy czy nasadzenia zastępcze. W 2022 r. ta kwota była wprawdzie o połowę

mniejsza, jednak największe przedsięwzięcia PSE ma przed sobą.

– Budowa sieci elektroenergetycznych, jak wszystkie inne inwestycje liniowe, może mieć negatywny wpływ na siedliska ptaków. Jeśli więc poprowadzenie sieci pod ziemią jest możliwe, warto z tej opcji skorzystać – przekonuje dr Jarosław Krogulec, dyrektor ds. ochrony przyrody w Ogólnopolskim Towarzystwie Ochrony Ptaków.

Linie elektroenergetyczne są drugim po szklanych budynkach najważniejszym ryzykiem śmiertelności ptaków stworzonym przez człowieka. Szczególnie narażone na kolizje są ptaki

o stosunkowo dużej rozpiętości skrzydeł, m.in. sowy, kruki czy ptaki szponiaste. Dla bocianów białych linie elektroenergetyczne mogą być nawet najważniejszą przyczyną śmiertelności. W wyniku kolizji oraz porażenia prądem ginie w Polsce ponad 600 bocianów rocznie. W przypadku linii najwyższych i wysokich napięć ryzyko porażenia jest znacznie niższe w związku z izolatorami oraz dużymi odległościami między przewodami, jednak ryzyko kolizji jest dla ptaków wysokie z uwagi na wysokość przewodów, niewidoczny dla nich długi i cienki przewód odgromowy oraz piętrowy układ linii.

Czasami na drodze inwestycji staje dosłownie jedno gniazdo. Na przykład przy okazji inwestycji w linię Dunowo – Żydowo Kierzkowo – Piła Krzewina okazało się, że na słupie we fragmencie linii 220 kV przeznaczonym do likwidacji gniazdo ma rybołów. Operator chciał budować nową linię w sąsiedztwie. Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska kilkukrotnie żądał od inwestora wyjaśnień, poprawek i uzupełnień w raporcie oddziaływania na środowisko, który jest konieczny dla wydania decyzji środowiskowej. Chciał też rozważenia poprowadzenia inwestycji inną trasą, co okazało się niemożliwe z uwagi na po-

blisi zalew. W końcu określili zakres rozbiórki słupa i zasady monitoringu, a termin prac uzależnił od okresu legowego i obecności ptaków w rewirze. Powód? Rybołów mamy w całym kraju raptem między 20 a 30 par i od lat nie udaje się odtworzyć ich populacji.

Poprowadzenie nowej linii przesyłowej wiąże się także z dużymi wycinkami, w przypadku linii 400 kV to przynajmniej 3,2 ha lasu na każdy kilometr. Przy tej okazji PSE wycina także drzewa dziuplaste, nierzadko RDOŚ nakazuje więc m.in. budowę i montowanie budek dla ptaków i dla nietoperzy czy wręcz odtwarzanie korytarzy migracyjnych i zerowisk tych ostatnich. „W wyniku ocieplenia klimatu coraz więcej nietoperzy zimuje w drzewach, co więcej w wyniku

remontów dachów i nieprawidłowo przeprowadzanych termomodernizacji budynków przenosi swoje kolonie letnie w drzewa. Inwestycja może mieć negatywne oddziaływanie na chiropterofaunę podczas wycinek drzew” – napisał w uzasadnieniu RDOŚ w Katowicach, wydając decyzję dla linii 400 kV Trębaczew–Joachimów–Wielopole. PSE podają na swojej stronie internetowej, że przy inwestycjach w terenach leśnych mogą częściowo ograniczyć wycinkę dzięki użyciu słupów leśnych, które pozwalają na zmniejszenie szerokości linii lub nadleśnych, które prowadzą linię ponad konarami drzew.

W decyzjach środowiskowych wydanych w ostatnim czasie dla PSE organy środowiskowe nakładają na operatora także obowiązki co do

WYNIK ANALIZ ROZWOJU SIECI PRZESYŁOWEJ – MAPA PLANOWANYCH INWESTYCJI SIECIOWYCH

Schemat sieci przesyłowej ze zmianami wynikającymi z realizacji planowanych zadań inwestycyjnych według scenariusza SDT



sługuje stosowne wynagrodzenie za lokalizację infrastruktury przesyłowej PSE na jego nieruchomości. Jego wysokość jest ustalana przez biegłego rzeczoznawcę. Gdy jest zawierana umowa służebności przesyłu – wynagrodzenie jest wypłacane po zawarciu porozumienia, a w przypadku decyzji administracyjnej po zakończeniu budowy linii – zachęca

spółka. Z punktu widzenia właścicieli nieruchomości w dalszym sąsiedztwie sytuacja wygląda jednak zgoła inaczej, bo choć właściciel działki, przez którą przechodzi linia, dostanie wynagrodzenie, to im zostanie widok linii przesyłowej i trudno im będzie wywalczyć dla siebie odszkodowanie.

Co więcej, przy tego typu inwestycjach wyznacza się

sposobu wydzielenia i oznaczenia mrowisk, terminów prac poza okresem rozrodu wilków czy lęgu ptaków, sposobu postępowania z inwazyjnymi gatunkami roślin czy rozmieszczenie sygnali

ostrzegawczych dla ptaków. Przede wszystkim określały jednak zasady monitoringu oraz nadzoru przyrodniczego. Często jednak spośród wariantów poprowadzenia inwestycji finalnie wybiera-

też tzw. pas technologiczny – indywidualnie dla każdej linii, a starosta może ograniczyć sposób korzystania z nieruchomości nawet wbrew woli właściciela. Jeśli uniemożliwia to dalsze prawidłowe korzystanie z nieruchomości zgodnie z jej dotychczasowym przeznaczeniem, można żądać nabycia działki na rzecz Skarbu Państwa. Jednak gdy

ograniczenia dotyczą tylko części działki, odszkodowanie może być symboliczne.

Możliwość tzw. kablowania, czyli poprowadzenia danego odcinka pod ziemią, jest przez PSE brana pod uwagę w ostateczności. Przede wszystkim ze względu na koszty, ale także ewentualne naprawy usterek są bardziej uciążliwe dla operatora.



Rybołów to jeden z najrzadszych ptaków w Polsce, jego gniazdo znalazło się na trasie budowy linii przesyłowej

no nie ten, który był najkorszniejszy dla przyrody, ale ten za którym przemawiała najmniejsza liczba protestów ludzi i największe oddalenie od zabudowań.

Czy lepszym pomysłem dla przyrody byłoby umieszczenie kabli pod ziemią? Nie ma pewności, czy wycinek udało się uniknąć, ryzyko dla ptaków byłoby jednak mniejsze. Ale już dla gleby, gdzie bioróżnorodność jest często większa niż nad nią, niekoniecznie. – Podczas prowadzenia takich inwestycji dochodzi do ingerencji w profil glebowy. Ważne jest ominięcie już na etapie projektowania obszarów najbardziej wrażliwych, na których występują gleby organiczne oraz nadmiernie uwilgotnione gleby mineralne o wysokim poziomie wód gruntowych. Nawet je-

śli pas wykopu jest wąski, degradację gleby może spowodować sprzęt, który może doprowadzić do jej nadmiernego zagęszczenia – mówi dr hab. inż. Jan Jadczyński z zakładu gleboznawstwa erozji i ochrony gruntów Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa – Państwowego Instytutu Badawczego w Puławach. – Podobne wyzwania występowały podczas budowy gazociągu Jamał-Europa. Wtedy wykonawcy nie zawsze zwracali uwagę na dokładne odtworzenie profilu glebowego, dochodziło do nadmiernego zagęszczenia gleby i ograniczenia infiltracji wód opadowych, co wywołało sprzeciw rolników i konieczność przeprowadzenia dodatkowych prac rekultywacyjnych. Niekiedy konieczna była też wypłata odszkodowań – dodaje.

Linie dystrybucyjne wciąż w powietrzu. Bezpiecznie?

BEZPIECZEŃSTWO Polska należy do krajów z najmniejszym udziałem sieci poprowadzonej pod ziemią. Polityka energetyczna Polski przewidywała plan skablowania sieci średniego napięcia, ale już się zdezaktualizowała

Anita Dmitruczuk
 anita.dmitruczuk@infor.pl

W tegorocznym raporcie NIK wskazuje, że stosunkowo niskie wskaźniki niezawodności polskich sieci są skorelowane m.in. z małym poziomem skablowania (czyli schowania jej pod ziemią). W 2018 r. Polska zajęła dopiero 18. miejsce spośród 25 analizowanych państw pod względem udziału tej technologii w sieciach elektroenergetycznych.

Zycie kabli elektroenergetycznych jest wprawdzie zwykle krótsze niż linii napowietrznych, jednak te stają się ofiarami ekstremalnych zdarzeń, w tym wicher, upałów czy śniegów, a także ulegają uszkodzeniu na skutek zerwania przez gałęzie drzew czy w wyniku pożarów lasów. Mogą być jednak nieco wygodniejszym rozwiązaniem w razie konfliktów zbrojnych, co pokazała wojna w Ukrainie. Od wiosny ataki na infrastrukturę sieci się nasiliły. Kiedy w maju tego roku po tygodniach ostrzałów elektrowni elementów sieci Kijów wprowadził ogólnokrajowe przerwy w dostawach prądu, Dmytro Kułeba mówił, że połowa systemu energetycznego została już uszkodzona. Mimo to Rosjanom nie udało się jak dotąd doprowadzić do ogólnokrajowego trwałego blackoutu, w czym swoją rolę odegrała zarówno integracja ukraińskiej sieci z zachodnią, jak i możliwości stosunkowo szybkiej naprawy lub wymiany uszkodzonych linii napowietrznych, stacji rozdzielczych czy transformatorów. Linie napowietrzne łatwiej jest zniszczyć, ale łatwiej też naprawić. Kable elektromagnetyczne mają odwrotną zaletę: trudniej się je niszczy, ale naprawa jest zwykle dłuższa i bardziej skomplikowana.

Według Ośrodka Studiów Wschodnich od początku wojny miały jednak miejsce cztery przypadki, w których doszło do awaryjnego wyłączenia bloków atomowych z powodu ataków na stacje rozdzielcze i linie przesyłowe. Zniszczenia sieci pokazały jednak także inny aspekt bezpieczeństwa. Według raportu Carbon Conflict przygotowanego na konfe-

rencję w Bonn poprzedzającą szczyt klimatyczny w niemal tysiącu rosyjskich ataków wyciekło – jak oszacowali autorzy – ok. 40 t heksafluorku siarki, substancji zastosowanej do izolacji. Ma ona 23 tys. razy większy potencjał cieplny niż dwutlenek węgla.

Uchwalona na rok przed wybuchem wojny w Ukrainie Polityka energetyczna Polski do 2040 r. wskazywała, że największy wpływ na niezawodność dostaw energii dla odbiorców końcowych mają zdarzenia w sieci średnich napięć.

W dokumencie zapisano wówczas, że odbudowa linii niskich napięć powinna się odbywać przy użyciu przewodów izolowanych lub poprzez skablowanie, a także, że dla „osiągnięcia większej niezawodności pracy sieci konieczne jest sukcesywne kablowanie sieci średniego napięcia. W tym celu w 2021 r. opracowany zostanie krajowy plan skablowania sieci średniego napięcia do 2040 r., a skutkiem jego realizacji będzie zwiększenie udziału linii kablowych w liniach SN w Polsce do poziomu średniej w UE (to ok. 50 proc. – red.)”. Taki plan nie powstał, a polityka energetyczna Polski ma zostać gruntownie zrewidowana.

W 2022 r., już po wybuchu wojny, najwięksi operatorzy sieci i prezes URE podpisali natomiast Kartę efektywnej transformacji sieci dystrybucyjnej. Tam jako jeden z celów sformułowano kablowanie sieci wysokiego i średniego napięcia jako element zabezpieczenia przed wpływem warunków atmosferycznych na sieć. Zespół projektowy powołany z tej okazji wskazał jako korzyści takiego rozwiązania: krótsze przerwy w dostawach energii elektrycznej dla klientów, poprawę wskaźników jakości energii elektrycznej; wzrost atrakcyjności Polski dla inwestorów zagranicznych, ograniczenie ryzyka zdarzeń losowych w sieci, zwiększenie bezpieczeństwa dostaw; poprawę elastyczności pracy sieci oraz poprawę parametrów jakości energii elektrycznej. Operatorzy sieci dystrybucyjnych prognozowali wówczas, że koszt doprowadzenia linii średniego i wysokiego napięcia do poziomu skablowania ponad 41 proc. do 2030 r. to prawie 17 mld zł.

Długość wszystkich linii elektroenergetycznych w Polsce, łącznych z przyłączami, to ponad 990 tys. km, a 77 proc. tej wartości stanowią linie niskiego i średniego napięcia. Na koniec 2023 r. udział linii kablowych w liniach średniego napięcia wyniósł 30,6 proc. W pierwszej dekadzie XXI w. 80 proc. nadszyci sieci stanowią linie napowietrzne.



Michał Potocki

DGP
Magazyn
na Weekend



Czytaj

Plan Kremla na wybory w Mołdawii

Górnicy protestują, kopciuchów ubywa

GÓRNICTWO Zaostrzenie wymagań dotyczących jakości paliw spalanych w domach ma się przyczynić do poprawy zdrowia i umożliwić wypłatę środków z KPO. **Górnicy** związki protestują przeciwko stratom kopalni i zarzucają rządowi naruszenie umowy społecznej

Aleksandra Hołownia
Nikodem Chinowski
dgp@infor.pl

Trwają negocjacje resortu klimatu i środowiska (MKiŚ) z Ministerstwem Przemysłu (MP) dotyczące kształtu rozporządzenia w sprawie wymagań jakościowych dla paliw stałych. Ma ono zaostrzyć wymagane parametry dla węgla wykorzystywanego przez gospodarstwa domowe oraz zakazać używania w nazwach produktów przedrostków takich jak „eko” (np. „ekogroszek”) sugerujących ekologiczność paliw. MKiŚ chce w lipcu opublikować rozporządzenie. Od przyjęcia rozporządzenia zależy wypłata drugiej transzy środków z KPO. Mają one zostać przeznaczone m.in. na wymianę kopciuchów. – W tym roku potrzebujemy jeszcze 2-3 mld zł z KPO na obsługę programu „Czyste powietrze”. Pozostałe pieniądze będą pochodziły z programu FENIKS – mówi DGP Robert Gajda, zastępca prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW).

Przeciwko rozporządzeniu protestuje branża górnicza. W piątek odbyła się demonstracja pod MKiŚ przeciwko nowym przepisom. Zdaniem związkowców ograniczenie wydobycia węgla uderzy w polskie spółki węglowe. Do gospodarstw domowych trafia obecnie ponad 6 mln t węgla, z czego prawie połowę stanowi polskie wydobycie. Bogusław Ziętek, szef Sierpnia '80, szacuje, że straty trzech tylko spółek – LW „Bogdanka”, Polskiej Grupy Górniczej oraz Południowego Koncernu Węglowego – mogą sięgać 3-4 mld zł rocznie. – Rozporządzenie eliminuje z rynku najcenniejszy gatunek węgla, który jest najbardziej marżowy. Nawet jeśli wydobycie tego węgla jest niewielkie, to on przynosi spółkom bardzo duże dochody, niejednokrotnie to jedna trzecia ich przychodów – wylicza w rozmowie z DGP Ziętek.

Cytuje przy tym wartości wyższe od tych, które podczas czerwcowej podkomisji sejmowej przedstawiał Sławomir Krenczyk, zastępca prezesa LW „Bogdanka”, spółki, której największą część węgla nie będzie mogła trafić do gospodarstw domowych z powodu wysokiego zasarczenia produktu. Według niego wpływ finansowy na kopalnię to ok. 140 mln zł rocznie. Ziętek mówi o 250 mln. Z kolei według Krzysztofa Bolesty, wiceministra MKiŚ, już wyliczenia Krenczyka były zawyżone. – Są oparte na bardzo optymistycznym scenariuszu sprzedaży, który w poprzednich latach się nie spełnił. Kopalnia szacuje, że sprzeda więcej, niż sprzedaje dzisiaj – mówił wiceminister na zeszytygodniowym spotkaniu z dziennikarzami. Z kolei

Hubert Różyk, rzecznik resortu, zauważał, że wyliczenia uwzględniają tylko perspektywę kopalni, za to nie biorą pod uwagę tego, ile dopłacamy do służby zdrowia w związku ze złą jakością powietrza i związanymi z nimi chorobami. Te są przyczyną przedczesnych zgonów nawet 40 tys. osób rocznie.

– Im węgiel zawiera więcej siarki i jest bardziej wilgotny, tym wyższe jest stężenie pyłów w atmosferze. Gdy jakość węgla jest lepsza, emisje i zanieczyszczenie powietrza są niższe, co przyczynia się do poprawy zdrowia. Potwierdzają to sami górnicy, promując tzw. niebieski węgiel lepszej jakości – mówi DGP Piotr Siergiej, rzecznik Polskiego Alarmu Smogowego.

Węgiel, którego nie będzie można sprzedawać do gospodarstw domowych, ma właśnie wyższe poziomy siarki, wilgotność oraz zawartość popiołu. Podczas czerwcowej podkomisji sejmowej Marzena Czarnecka, szefowa resortu przemysłu, nazwała go „odpadem”. – Polski węgiel jest fatalnej jakości, wszyscy to wiemy, szau nie ma – mówiła. Sprzeciwiła się jednak rozporządzeniu, wskazując, że spowoduje to wzrost znaczenia węgla z zagranicy. – A ja nic od pół roku nie robię, tylko kombinuję, jak ten import węgla zablokować – mówiła, tłumacząc, że Polacy i tak dopłacają do funkcjonowania kopalni, a jeśli dodatkowo część węgla nie będzie sprzedawana, to koszt pomocy publicznej, będącej elementem notyfikacji KE, będzie jeszcze wyższy. – Nie możemy się zgodzić na to, że jest taka retoryka, że jak się węgiel nie nadaje do spalania w elektrowniach, to trzeba go sprzedać do gospodarstw

domowych. Najgorszy węgiel nie może być spalany w kotłach, które nie mają żadnych filtrów – ripostuje Bolesta.

Z kolei Bogusław Hutek, przewodniczący górniczej Solidarności uważa, że rozporządzenie pogorszy to, czym palą Polacy w piecach. – Wycofanie tego paliwa (części ekogroszku – red.) z rynku spowoduje powrót wielu osób do palenia śmieciami. Nikt nie zabrania MKiŚ promować innych źródeł ciepła i zachęcać do odchodzenia od pieców węglowych, ale nie może się to odbywać metodą nakazów i zakazów – mówi

Według związkowców rozporządzenie naruszałoby również zapisy umowy społecznej, podpisanej przez górników i rząd w maju 2021 r. – Rozporządzenie minister Kłoski sprawia, że kopalnie będą miały niższe przychody, będą musiały ciąć swoje koszty. To oznacza, że część z tych kopalni będzie likwidowanych dużo wcześniej, niż przewidywała umowa – ocenia Ziętek. Minister przemysłu Marzena Czarnecka po objęciu urzędu jasno deklarowała, że będzie respektowała uzgodnione zapisy. Górnicze związki twierdzą też, że rozporządzenie uderza w proces notyfikacji pomocy publicznej. Akceptacja wniosku – który od ponad dwóch lat czeka w Brukseli na wymagane przez KE poprawki – jest niezbędna dla uruchomienia 28,8 mld pomocy publicznej dla polskiego górnictwa. W zeszłym tygodniu Ministerstwo Przemysłu zapewniło nas, że z poprawianiem dokumentacji jest już na ostatniej prostej.

– Postulujemy, żeby co najmniej do czasu notyfikacji wniosku – kiedy będziemy mieć pewność, że pomoc publiczna, która płynie do



Górnicy: – Nikt nie zabrania ministerstwu zachęcać do odchodzenia od pieców węglowych, ale nie metodą zakazów

górnictwa, jest legalna – zawiesić prace nad tym rozporządzeniem – apeluje Ziętek.

W przesłanym DGP komentarzu resort przemysłu zaznaczył, że trwają międzyresortowe konsultacje, a MP jest z MKiŚ na etapie uzgadniania projektu rozporządzenia. „Ministerstwo Przemysłu wykazało w swoich uwagach m.in., że jeżeli przepisy zostaną wprowadzone w pierwotnej wersji, to wpłynie to na podaż węgla dla gospodarstw domowych oraz sytuację finansową sektora” – czytamy w komentarzu. W toku uzgodnień MP zgłosiło 29 uwag.

Różyk: – Musimy znać skalę tego problemu. Mówimy o ok. 7 proc. polskiego wydobycia. Twierdzenia, że będą upadały kopalnie, są bardzo dalekie od prawdy – tłumaczy. Dodaje, że część z 3 mln t objętych rozporządzeniem spełni jego warunki i będzie mogło zostać dopuszczone do

sprzedaży. – Nie proponujemy totalnej rewolucji. Proponujemy powrót do podnoszenia norm jakości i odejścia od greenwashingu, kiedy funkcjonowała przez lata nazwa „ekogroszek” – dodaje.

Normy będą zaostrzone stopniowo, aż do 2031 r. Według Piotra Siergieja rynek będzie wtedy wyglądał całkowicie inaczej. – Ludzie uciekają od węgla. Jeszcze parę lat temu gospodarstwa domowe spalały 10-11 mln t rocznie, dziś jest to 6,7 mln t – mówi. Dodaje, że patrząc na liczbę składanych wniosków w programie „Czyste powietrze”, można zakładać, że w momencie, w którym najbardziej restrykcyjne normy będą wchodzić w życie, kopciuchów będzie o ok. 1,5 mln mniej. – Zapotrzebowanie na węgiel będzie więc jeszcze mniejsze, niż jest teraz. Ta przemiana cywilizacyjna już się dokonuje – kwituje. ©



Anita
Dmitruczuk
dziennikarka
DGP

OPINIA Bujający łódką nie wyprowadzą jej na spokojne wody

Konflikt wokół rozporządzenia dotyczącego norm jakości węgla pokazuje jak na dłoni, co poszło nie tak w polskiej transformacji energetycznej. Opisanie go jako konfliktu wartości, w którym na jednej szali mamy zdrowie i życie tysięcy ludzi, a na drugiej – interes branżowy, byłoby uproszczeniem. Odejście od węgla nie jest nam potrzebne tylko ze względu na jakość powietrza, którym oddychamy, podobnie jak zabezpieczenie kopalni nie wynika tylko z chęci zysków. A jednak słuszne skądinąd postulaty dotyczące sprawiedliwej transformacji Śląska giną w gielku protestów, w których górnicy negują zmianę klimatu, opowiadają bzdury o węglu, przerzucają się inwektywami i posługują fejkami. Taki obraz zostawił po sobie piątkowa manifestacja pod Ministerstwem Klimatu. Nie mam najmniejszej wątpliwości co do tego, że nie jest to głos wszystkich górników, podobnie jak straciłam już przekonanie, że przynajmniej część górniczych związków w ogóle jest zainteresowana rozwiązaniem problemu,

a nie zwykłym bujaniem łódką i sprawdzaniem, dokąd dopłynie.

W słynnej umowie społecznej padła obietnica o zakończeniu wydobycia węgla w 2049 r., co nie oznacza rzecz jasna, że wycofanie z domowych pieców najbardziej brudnego paliwa, które sama minister przemysłu nazywa odpadem, stoi temu na przekór. Wydobycie skończy się w połowie stulecia, z czego nie wynika przecież, że przez kolejnych 25 lat ludzie powinni truć siebie, swoje dzieci i sąsiadów. Z tego terminu nie sposób też wysnuć, że wszystkie kopalnie będą jeszcze działały, że będą miały dochody i zatrudnienie na obecnym poziomie, ani że gospodarstwa domowe – a jakże: także za sprawą takich programów jak „Czyste powietrze” – nie odwrócą się od węgla szybciej. We własnym dobrze pojętym interesie. Rok 2049 to na te zobowiązania innych unijnych państw perspektywa najbardziej odległa, by nie powiedzieć, że wręcz egzotyczna. I to biorąc pod uwagę nie tylko nominalne cele klimatyczne, lecz także to, jak szybko zmienia się gospodarka światowa – z pozwoleniem górni-

ków lub bez niego. Przez lata w Polsce był też sprzedawany tzw. ekogroszek, którego m.in. dotyczy rozporządzenie, a co do którego klienci mieli złudzenie, że przedrostek eko – pochodzi od ekologii, a nie od ekonomii. Utrzymywanie takiego stanu rzeczy byłoby jak budowanie fosy przed węglowym skansenem, jakim w Europie – słuchając wypowiedzi podczas manifestacji górników – miałaby stać się Polska.

Ale trudno mieć pretensje do górników, że walczą o swoje interesy, nawet jeśli jakość najgłośniejszych argumentów pozostawia moim zdaniem wiele do życzenia. Bujanie łódką widać też w rządzie.

Kiedy powstawało Ministerstwo Przemysłu, nikt nawet specjalnie nie ukrywał, że to resort stworzony dla górniczego Śląska. Nawet szanując szczerą minister Czarneckiej, którą odczytuję w ten sposób, że jej zdaniem powinniśmy spalać w domach złą jakość paliwa, bo i tak się do niego dorzucamy w formie subsydiów dla węgla. Płacimy i dostajemy to, za co zapłaciliśmy, prawda? Jednak konflikty między

Ministerstwem Klimatu a Ministerstwem Przemysłu są już nader widoczne, tymczasem polityki klimatycznej z prawdziwego zdarzenia jak nie mieliśmy, tak nie mamy. Zastępuje ją polityka gaszenia ognisk i uciszania niezadowolonych bez względu na strategiczne cele państwa (co pokazało także m.in. wycofanie się z niektórych, zresztą tak lichych obostrzeń dla Zielonego Ładu w rolnictwie). Ministerstwo Klimatu w sprawie rozporządzenia o jakości paliw chyba po raz pierwszy tak wyraźnie zarysowało swoją czerwoną linię, co nie zmienia faktu, że to ono wciąż nie wypracowało ogólnokrajowych, precyzyjnych i skutecznych polityk transformacji. Zgaduję więc, że korzyści w bujaniu łódką widzi też szef rządu, choć wątpię, czy ustępstwa względem rolników czy ewentualnie górników będą doceniane przy urnach wyborczych. Z pewnością zauważają je jednak ci, którzy raczej oczekują od rządu skutecznego zarządzania największym gospodarczym wyzwaniem dla Polski, jakim jest transformacja. ©

Panika i lęk u demokratów

WASZYNGTON Partia Demokratyczna wrze. Po katastrofalnej dla Bidena debacie część ugrupowania stoi za nim murem, ale **nie brak wpływowych głosów, by wybrać innego kandydata**

Mateusz Obremski
mateusz.obremski@infor.pl

Wcale nie zdarza się w USA często tak, że prezydencka debata wywraca do góry nogami dotychczasowy porządek kampanii. Tak jednak stało się w tym roku. Na nic zdały się tygodniowe przygotowania w rezydencji w Camp David, walcząc o drugą kadencję Joe Biden wypadł w telewizyjnym starciu z Donaldem Trumpem katastrofalnie. Gubił i mylił słowa i wątki, mówił cicho i niewyraźnie, słowem wyglądał dokładnie tak jak w spotach Partii Republikańskiej, w których przedstawia się go jako osobę niedołążną, fizycznie i mentalnie niezdolną do sprawowania najważniejszego urzędu w kraju. Biały Dom słabszą dyspozycję tłumaczył po debacie przezebraniem 81-latką, ale trudno zweryfikować, czy te doniesienia są prawdą.

– Nie chodzę tak sprawnie jak kiedyś, nie mówię tak płynnie jak kiedyś, nie

debatuję tak dobrze jak kiedyś. Ale wiem, jak mówić prawdę. Nie ubiegałbym się ponownie o stanowisko prezydenta, gdybym nie wierzył z całego serca, że mogę wykonywać tę pracę – tłumaczył dzień później swój gorszy występ na wiecu w Raleigh Biden. Otoczony swoim sympatykami, czytając z promptera, wyglądał znacznie lepiej. Mówił zrozumiale, sprawiał wrażenie żywotnego i zdeterminowanego, podobnie jak na marcowym orędziu o stanie państwa wygłoszonym w Kongresie. To wszystko jednak za późno i za mało, by wymazać plamę z debaty, obejrzonej przez ponad 50 mln Amerykanów. Temat zdrowia i wątpliwej witalności prezydenta staje się najważniejszym w kampanii, co przyprawia o wielką radość republikańskich sztabowców.

Ocena debaty przez Amerykanów, w tym samych demokratów, jest dla przywódcy USA druzgocąca. Z badania ośrodka Morning Consult

przeprowadzonego już po starciu z Trumpem wynika, że aż 78 proc. widzów stwierdziło, że Biden jest za stary, by zasiadać w Białym Domu. A prawie połowa wyborców demokratów jest za tym, by został zastąpiony przez innego kandydata. Problem w tym, że do wyborów pozostały zaledwie cztery miesiące, a atrakcyjnej partyjnej alternatywy nie widać. Wiceprezydent Kamala Harris jest wyjątkowo niepopularna, poziom zaufania wobec niej oscyluje wokół wręcz zenujących 35 proc. Kandydatka Michelle Obama zawsze była bardziej tematem dla kolorowych pism niż polityczną możliwością. Wśród spekulacji wysoko stoją nazwiska gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma czy gubernator Michigan Gretchen Whitmer, dwojce tej brakuje jednak ogólnokrajowej rozpoznawalności.

Zszokowana Partia Demokratyczna podzieliła się po debacie na dwa obozy, za podmiarką i przeciwko, przy czym każda z tych de-



Z sondaży wynika, że mniej więcej połowa wyborców demokratów jest za tym, by Biden wycofał się z wyścigu o prezydenturę

cyzji oznacza bardzo wyboiste cztery miesiące. Za wycofaniem się Bidena z wyścigu o Biały Dom ma być sporo demokratycznych kongresmenów, anonimowo mówiących w mediach o „panicie”, „szoku” czy „trzęsieniu ziemi”. Parlamentarzyści obawiają się po prostu o swoje wyborcze wyniki pod przywództwem Bidena. Uważają, że 81-latek pogrzebie ich szanse, pociągnie ich w dół. Tym bardziej że sondaże pokazują, że większość może w swoich okręgach wyborczych liczyć na lepsze rezultaty niż prezydent. Do odpuszczenia wzywają też Bidena wpływo-

wi publicyści po liberalnej stronie, w tym Thomas Friedman z „New York Timesa” czy David Ignatius z „Washington Post”. Tak apel wystosował też w komentarzu redakcyjnym „NYT”. Bob Woodward, legenda Waszyngtonu i dziennikarz, który ujawnił aferę Watergate, stwierdził, że debata w wykonaniu prezydenta była „polityczną bombą wodorową” i „wielką katastrofą”, a Amerykanie powinni dowiedzieć się prawdy o tym, co się wydarzyło.

Chociaż mamy najbliższe otoczenie Bidena, które już od pierwszych chwil po de-

bacie przekonywało, że nie ma opcji na żadne zmiany. – Odmawiam dołączania do sepu. Wiem doskonale, że trudna debata nie definiuje całej osoby i osiągnięć – stwierdził np. John Fetterman, senator z Pensylwanii. Wszystko wskazuje więc na to, że do konwencji partyjnej pod koniec sierpnia (na niej oficjalnie wyłania się kandydata) po stronie demokratów będziemy mieli poważny podział. A scenariusz samej konwencji w Chicago bardzo trudno na ten moment przewidzieć.

Dla republikanów to wysnione okoliczności. Trump jeszcze przed debatą miał w większości kluczowych wyborczo stanów przewagę, teraz zapewne ta jeszcze się powiększy. Republikanie grupują się obecnie wokół swojego lidera, który rozmawia ze wszystkimi frakcjami w partii, nieco łagodzą przekaz i spotyka się z wierchuszka partii, licząc na poprawę relacji. Mimo powtarzanych przez niego w debacie kłamstw jego występ został przyjęty po prawej stronie entuzjastycznie. Za dwa tygodnie jego kampania powinna otrzymać kolejny impuls, w połowie lipca Trump ma ogłosić swojego kandydata lub kandydatkę na wiceprezydenta. ©

BLISKI WSCHÓD

Izraelczycy ostrzegają, że ich wojska będą w stanie **cofnąć Liban do epoki kamienia łupanego**. Ale konfrontacja z Hezbollahem doprowadzi także do zniszczeń po stronie izraelskiej

Karolina Wójcicka
karolina.wojcicka@infor.pl

Zdaniem amerykańskiego wywiadu wojna między Izraelem a Hezbollahem może wybuchnąć w ciągu najbliższych kilku tygodni. Choć Stany Zjednoczone wykorzystują tego typu ostrzeżenia, by zmusić obie strony do negocjacji, Izraelczycy i Libańczycy wydają się zgodni co do tego, że konfrontacja jest nieunikniona. Premier Izraela Benjamin Netanjahu stwierdził w ubiegłym tygodniu, że „intensywna faza walk z Hamasem wkrótce się zakończy, a uwaga wojska be-

Z jednej wojny na drugą. Nieunikniona konfrontacja Izraela z Libanem

dzie mogła przenieść się na północną granicę z Libanem”.

Siły Obronne Izraela (Cahal) i Hezbollah opracowały już plany bitewne. Minister obrony Izraela Jo'aw Galant ostrzegł, że armia jest w stanie „cofnąć Liban do epoki kamienia łupanego”, ale Izraelczycy mają świadomość, że konflikt z irańską bojówką, która jest uznawana za najlepiej uzbrojoną grupę niepaństwową na świecie, może doprowadzić także do ogromnych zniszczeń po stronie izraelskiej. Cahal szacuje, że zestawy obrony powietrznej nie będą w stanie ochronić wszystkich zaludnionych obszarów, więc obrona skupi się przede wszystkim na infrastrukturze niezbędnej do prowadzenia działań wojennych. Trzyletni projekt badawczy przeprowadzony przez Uniwersytet Reichma-

na w Izraelu, zakończony niedługo przed atakiem Hamasu z 7 października 2023 r., wykazał, że Hezbollah może wystrzeliwać nawet 3 tys. pocisków dziennie przez okres do trzech tygodni.

Kluczowym celem bojówek może być więc załamanie obrony powietrznej Izraela. „Opinia publiczna i znaczna część przywódców oczekują, że izraelskie siły powietrzne i wywiadowcze zdołają zapobiec większości ataków rakietowych na Izrael. To się jednak nie wydarzy” – czytamy w raporcie. Jego autorzy zaprzeczają także twierdzeniom, że groźba izraelskiego odwetu lub uderzenia na Liban znacząco ograniczy zdolność Hezbollahu do kontynuowania ataków na Izrael. Od 2006 r., kiedy obie strony starły się po raz ostatni, Hezbollah znacznie rozszerzył swój arsenał. Według eksper-

tów bojownicy zgromadzili od 120 tys. do 200 tys. sztuk broni, w tym drony i pociski balistyczne. Niewykluczone też, że ze względu na bliskie relacje z Hezbollahem władze w Teheranie wysłałyby do Libanu dodatkowe zaopatrzenie. Tym bardziej że jest to dziś zdecydowanie łatwiejsze niż w przeszłości: Iran wzmacnił obecność w Syrii po wybuchu wojny w 2011 r., tworząc dzięki temu most lądowy, który umożliwia transport broni z Iranu przez Irak i Syrię do Libanu. „Pokazuje to, jak duży jest kontrast między Hezbollahem a Hamasem, do którego broń musi być przemykana tunelem” – wskazuje amerykański Center for Strategic and International Studies (CSIS). Znacząco wzrosła także liczba bojowników. Sekretarz generalny Hezbollahu Hasan Nasr Allah utrzymuje,

że w razie wojny jego grupa może powołać pod broń 100 tys. osób. Liczby te są jednak najpewniej zawyżone. Z szacunków CSIS wynika, że Hezbollah ma ok. 30 tys. aktywnych bojowników i do 20 tys. rezerwistów. Znaczna część z nich ma doświadczenie z walk w Syrii. „Umożliwiło to Hezbollahowi rozwinięcie kompetencji wykorzystywanych przez konwencjonalne armie” – ocenia think tank. Sza'ul Goldstein, szef firmy Noga, która nadzoruje systemy elektryczne w Izraelu, stwierdził, że kraj jest nieprzygotowany na wojnę z Hezbollahem ani na jej wpływ na infrastrukturę energetyczną. – Nie jesteśmy gotowi na prawdziwą wojnę. Żyjemy w świecie fantazji – powiedział. Władze stanowczo sprzeciwiły się jednak takiej ocenie. Ministerstwo energetyki i infrastruktury poda-

ło, że sieć energetyczna jest „solidna i przygotowana na wszystkie możliwe scenariusze”, a minister energetyki Eli Kohen obiecał, że „Izrael nie pogryże się w ciemności”.

Tyle że w izraelskiej przestrzeni publicznej pojawia się coraz więcej podobnych komentarzy. Główny ekonomista ministerstwa finansów Shmuel Abramzon tłumaczył, że wybuch wojny doprowadziłby do recesji. Z jego szacunków wynika, że zamiast obecnych 1,9 proc. wzrostu PKB gospodarka skurczyłaby się o 1,5 proc., przede wszystkim ze względu na rekrutację rezerwistów i zakłócenia w infrastrukturze i edukacji. Jak twierdzi, doprowadziłoby to także do dalszego obniżenia oceny wiarygodności kredytowej. Większość obywateli popiera jednak dążenia premiera Netanjahu do wojny z Hezbollahem. Z czerwcaowego sondażu przeprowadzonego na zlecenie dziennika „Ma'ariv” wynika, że za takim rozwiązaniem opowiada się aż 62 proc. Izraelczyków. Przeciwno jest 18 proc. ©

DGP Dziennik Gazeta Prawna

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Krzysztof Jedlak

Zastępcy redaktora naczelnego:
Barbara Kasprzycka,
Marek Tejchman

Sekretarze:
Wojciech Łysek, Urszula Wróblewska,
Aldona Kapica
Kierownik działów Kraj, Świat i Gospodarka:
Anita Sobczak
Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jedrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PIK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RIA)
Firma i Prawo oraz Prawnik:
Sławomir Wikariak, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FIP)
Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Loskot, Joanna Plefczykowska-Rybaczek
(tygodnik SIA), Joanna Siliwińska (tygodniki KIP i UIS)
Opinie: Michał Potocki
Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń, Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej Weryński
Szef studia DTP:
Jacek Obrusiewicz
Główny grafik:
Cezary Cichocki
Fotoedycja: Lukasz Milej
Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl
Dyrektor Centrum Reklamy:
Michał Krukowski
Dyrektor Centrum Marketingu:
Krzysztof Wierczkowski

Dyrektor Centrum Handlu:
Marcin Krawczak
Biurowisko Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl
Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki,
tel. 22 530 42 06
Produkcja:
Maciej Kowalski,
tel. 510 024 707
Druk:
Wyborcza Spółka z o.o.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PLSA
ul. Burakowska 14, 01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

VALUTY KONTROLUJĄ!

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
gazetaprawna.pl/prenumerata

Materiały oznaczone jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiał reklamowy w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ®® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych



Michał Potocki
dziennikarz
DGP

OPINIA Łukaszenka chce rozmawiać, ale na własnych warunkach

Z eszlotygodniowa wymiana kadr w białoruskim reżimie przyniosła kilka niespodzianek. Wspólną cechą powołanych osób jest ich lojalność wobec Rosji przy zachowaniu zdolności do potencjalnych negocjacji z Zachodem. Najwyraźniej także Alaksandr Łukaszenka szykuje się na wariant rokowań pokojowych.

I tak na stanowisko szefa administracji prezydenta (AP) został powołany Dmitrij Krutoj. Ten 43-latek należy do najmłodszych przedstawicieli elity władzy, a przy okazji to jeden z ostatnich, których niegdyś wiązano z frakcją technokratów. W białoruskich realiach szef AP jest drugą osobą po Łukaszenku. Jednoosobowy sposób zarządzania państwem sprawia, że człowiek pilnujący na co dzień, by decyzje dyktatora były realizowane, ma niebagatelny wpływ na całość polityki. Krutoj, zanim wspiął się na to stanowisko, pełnił inne ważne funkcje. Był wiceministrem i ministrem gospodarki – najmłodszym członkiem ówczesnego gabinetu Siarhieja Rumasa – a następnie wicepremierem. W 2020 r. przeszedł do AP na zastępcę jej szefa. Przez dwa ostatnie lata bezprecedensowo łączył tę funkcję ze stanowiskiem ambasadora w Moskwie. Jest też uważany za osobę cenioną przez Pekin.

Pierwszą zastępczynią Krutoja została Natalla Piatkiewicz. To jedna z większych niespodzianek ostatnich lat. Piatkiewicz przed 20 laty była młodą gwiazdą łukaszenkowskiej administracji. Pracowała w departamencie prawnym, była rzecznikzką Łukaszenki i zastępczynią szefa AP, a następnie pomocniczką białoruskiego przywódcy. W duecie z ultrawpływowym szefem AP Uładzimirzem Makiejem, zmarłym nagle w listopadzie 2022 r., była uznawana za tę, która ma pilnować systemowego liberała przed zbyt wielkimi ustępstwami na rzecz Zachodu (choć w białoruskich warunkach funkcje gołębi i jastrzębi



Alaksandr Łukaszenka ogłasza zmiany kadrowe w swojej administracji

bywają wymienne, a Makiej jako „liberalny” szef administracji stał za pacyfikacją protestów z 2010 r.). Jednocześnie, gdy Łukaszenka w 2008 r. podjął decyzję o złagodzeniu reżimu i zbliżeniu z Zachodem, to Piatkiewicz odpowiadała za rozmowy z Amerykanami.

W 2014 r. popadła w niełaskę, obarczona odpowiedzialnością za połączenie Łukaszenki z rosyjskim pranksterem Wowanem, który podpisał się pod Wiktora Janukowycza jr. (w Polsce pamiętamy Wowana z podobnej rozmowy przeprowadzonej wiele lat później z prezydentem Andrzejem Dudą, która również skończyła się dymisjami w jego kancelarii). Wydawało się, że jej kariera polityczna na dobre się skończyła. Na pewien czas przygarnął ją bogaty biznesmen Alaksandr Szakucin, którego modus operandi polegało na zatrudnianiu byłych urzędników w nadziei na skorzystanie z ich kontaktów i wiedzy. Ostatecznie wyjechała do Stanów Zjednoczonych ze swoim trzecim mężem Walancinem Rybakouem, który pełni funkcję stałego przedstawiciela Białorusi przy ONZ. – Liznęłaś demokracji w Stanach Zjednoczonych Ameryki, pora wracać do domu i zacząć pracować – mówił Łukaszenka, ogłaszając nominację 51-latk.

Na kluczowym stanowisku w AP od marca panował wakat, odkąd szef administracji Ihar Siarhiejenka został przewodniczącym izby niższej parlamentu. Jako zakończenie okresu przejściowego można też uznać nominację w MSZ. Dotychczasowy minister Siarhiej Alejnik był zastępcą Makieja. Alejnik był postacią słabą i bezbarwną. Nie umiał ochronić swoich pracowników przed represjami. Bezpieka interesuje się wnikliwie każdym, kto wraca z placówki na Zachodzie. Przedłużających się przesłuchań nie wytrzymał Dżanis Sidarenka, niedawno odwołany ambasador w Niemczech, który pełnił tę funkcję przez osiem lat. 23 czerwca popełnił samobójstwo, skacząc z okna. Alejnik nie spełnił też obiektywnie niespełnianych oczekiwań normalizacji relacji z Zachodem bez ustępstw w postaci złagodzenia masowych represji czy zdystansowania się od rosyjskiej agresji na Ukrainę. Za karę został zdegradowany do czysto fasadowej funkcji przewodniczącego senackiej komisji spraw zagranicznych.

Następcą Alejnika został Maksim Ryzankou. – Jest pan człowiekiem zdecydowanym, wymagającym. MSZ trzeba przywrócić do przytomności. Mówię otwarcie: trzeba wstrzą-

nać MSZ, żeby zaczęło pracować – mówił Łukaszenka. 52-letni Ryzankou przenosi się do MSZ ze stanowiska I zastępcy szefa AP (czyli od odwołania Siarhiejenki kierującego jej pracami). To kadrowy dyplomata, który był w MSZ, odkąd w 1994 r. skończył studia prawnicze. Pracował w ambasadach w Izraelu i Polsce, kierował szefem departamentu OBWE i Rady Europy oraz departamentu Ameryki. W 2006 r. został szefem departamentu polityki zagranicznej w AP. W 2012 r., po ochłodzeniu relacji z Zachodem, popadł w niełaskę i został skierowany na odcinek kultury fizycznej i sportu, ale w 2016 r. wrócił na drugą co do znaczenia funkcję w administracji Łukaszenki.

Cała trójka ma podobny rys w biografii: są lojalni i demonstracyjnie prorosyjscy, ale zarazem ich przeszłość (w przypadku Piatkiewicz i Ryzankoua) lub cechy charakteru (to już Krutoj) pozwalają im rozmawiać także z Zachodem, jeśli Łukaszenka uzna, że w imię wyższego celu warto pójść na ustępstwa. Łukaszenka znów nazywa prezydenta Ukrainy, używając grzecznościowej formuły „Wołodymyr Oleksandrowycz”, deklaruje chęć normalizacji relacji z Polską (choć na własnych warunkach), a w zeszłym tygodniu na spotkaniu z delegacją chińskich uniwersytetów rozwiódł się nad tym, dlaczego ChRL powinna współpracować z „USA i UE jako głównymi wspornikami współczesnego świata”.

Problem w tym, że nie idą za tym konkretne kroki, bo Białoruś pozostaje podwójnym zakładnikiem: Rosji i własnych ideologicznych ograniczeń. Moskwa nie daje pola manewru, by Mińsk mógł powstrzymać kryzys migracyjny na granicy z Polską, choć liczą na to Chiny (podczas wizyty Dudy w Pekinie rzeczniczka MSZ Mao Ning powiedziała PAP, że ma nadzieję, iż „obie strony rozwiążą problem na zasadzie konsultacji, aby uniknąć eskalacji napięć”, co jak na Pekin było dość bezprecedensowo otwartym wyrażeniem stanowiska). A złagodzenie represji nie wchodzi w grę, ponieważ Łukaszenka boi się powtórki z protestów z 2020 r., które poważnie zachwiały jego władzą. ©



Zbigniew Parafianowicz
dziennikarz DGP

OPINIA Propagandowa brygada dąbrowszczaków dyktatorów

Alaksandr Łukaszenka tworzy wokół siebie międzynarodowe środowisko, które buduje narracje o tym, jak bardzo zgnili i agresywni wobec Białorusi i Rosji jest Zachód. Niedawna ucieczka i ujawnienie się w Mińsku

łotewskiej kandydatki do Parlamentu Europejskiego Olgi Czerniawskiej to kolejny przypadek polityka czy przedstawiciela administracji państwa UE i NATO, który przeszedł na drugą stronę. W ich opowieści to nie Rosja i Białoruś są dyktatorami. To kraje Unii Europejskiej mają problem z przestrzeganiem prawa i ochroną swobód obywatelskich. Na wschód od Bugu panuje wolność, jest swojsko i przyjaźnie, a ludzie jedzą zdrowe placki ziemniaczane bez GMO i zażywają kąpieli słonecznych nad Zalewem Zastawskim lub w białe noce pływają statkiem po Newie. W Unii za to szerzą się faszyzm, zasilany przez podżegaczy wojennych, którzy chcą zbroić neonazistowską Ukrainę.

Tej opowieści nie budują jednak ocierający się o internetowy ściek facejoniści pokroju Jaszczura i Ludwiczka. Kształtuje ją współczesna propagandowa brygada dąbrowszczaków zasilana ludźmi ze sfer sędziowskich, politycznych i dziennikarskich. Łukaszenka ma swojego Szymdta, Czerniawską czy ekskandydata do Sejmu łotewskiego Romānsa Samuļa. Władimir Karin Kneissl, Gerharda Schroedera, Gerarda Depardieu czy Stevena

Seagala. Ich narracje szerzą profesjonalnie prowadzone kanały na Telegramie czy pełnoprawne redakcje prasowe. Prowadzą po to, by zrelatywizować dane o tym, kto tak naprawdę rozpoczął wojnę przeciwko Ukrainie i zachwał bezpieczeństwem europejskim. Chodzi o to, aby zaprzeczyć odpowiedzialności za zbrodnie i przenieść uwagę na „innych graczy”, którzy tak naprawdę do wszystkiego Rosję sprowokowali. Białoruś tylko pomaga jej obronić się przed agresją.

Były polski sędzia Tomasz Szymdt na niedawnym Forum Prawa w Petersburgu wystąpił ze wspomnianą Kneissl. Opowiadał o tym, jak Zachód zaprzecza własnym wartościom i namawiał do dialogu z Rosją. Przekonywał, że system prawny większości krajów UE „znajduje się w ruinie”, a ludzie na wysokich stanowiskach, którzy mają poglądy zbliżone do Kremla, są niszczeni. Na tym samym forum przemawiał były prezydent, a dziś naczelny hejter Rosji Dmitrij Miedwiediew, który zarzucał USA instrumentalizację prawa międzynarodowego (co ciekawe, sam Szymdt napisał, że Miedwiediew mówił o „podmiotowym traktowaniu prawa międzynarodowego przez USA”).

Olga Czerniawska, która w Mińsku zjawiła się w połowie czerwca – robi to samo co Szymdt. Rozpoczęła już swoją objazdówkę po mediach. W jednym z wywiadów opowiedziała o groźbach, które dostawała w czasie kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Przekonywała, że zgłaszali się do niej ludzie opowiadający, jak są dosypywane głosy do urn, jednak kierownictwo jej ugrupowania marginalizowało te zagrożenia w obawie przed łotewskimi służbami specjalnymi. Żaliła się również, że w jej kraju są zamykane szkoły, ale przez cały czas „są pieniądze na broń dla Ukrainy i minowanie granicy z Rosją”.

Rok przed Czerniawską Łotwę opuścił polityk Romāns Samuļs, który był kandydatem do Sejmu z ramienia Sojuszu Młodołotyszy. Przed wyjazdem aktywnie działał w ruchu antyszczepionkowym. Obecnie wychwała na swoich kanałach Putina i krytykuje życie na Zachodzie. Z mińskiej perspektywy chwali się m.in. tym, że stać go na zapalenie światła w ciągu dnia, gdy jest jasno. Co ma być szpilą wbitą władzom w Rydze w związku z wysokimi cenami energii. Samuļs buduje nieformalną koalicję „bałtyckich antyfaszistów”, którzy walczą z Zachodem.

Każdy ze współczesnych dąbrowszczaków ma do odegrania swoją rolę. W tym sensie Szymdt i jemu podobni nie są tylko umownymi przewodnikami z Orbisu, którzy zachwalają walory Grodzieńszczyzny i zabytków Mińska. ©



Tomasz Szymdt i Karin Kneissl podczas Forum Prawa w Petersburgu